

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobieczy

ROK LXII

WARSZAWA, DNIA 19 STYCZNIA 1929 ROKU

NR. 3

TREŚĆ NUMERU: O bliższe porozumienie — *Natalja Jastrzębska*. O pracę twórczą — *Zofja Brykalska*. Co nam może dać wystawa powszechna — *M. H. Szpyrkówna*. Poezje: „Okna” — *Lucyna Krzemieniecka*. Jak pani Niuśka zmieniała służącą (c. d.) — *Eugenja Mastejewska*. Spóźniona wiosna Eryka Van Soolden — *Zofja Kachel-Kellemowa*. Świat w sercu — *Stefanja Podhorska-Okołów*. Z życia muzycznego — *P. L.* Z życia ekranu — *Stef. H.* Sport i wychowanie fizyczne. Z teatrów — *H. N.* Kobieta w świecie i w domu. Matka pracuje — *Jadwiga Kiewnarska*. Na peryferjach — *Zofja Miszewska*. Technika — *Wanda Młodożeńcowa*. Odżywianie a zdrowie — *Marya Morzkowska-Sosy* — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Korespondencje. Dodatek „Nasza Mównica”. Dodatek „Mody i roboty”: Gdy jest zimno w zimie — *Well*. Fantazyjne przybrania głowy do kostiumów karnawałowych. Modne guziki — *Helena Wolska*. Modna poduszka. Dodatek powieściowy „Oblubieńcy” — *M. Benisławska*. Tablica kroju.

O BLIŻSZE POROZUMIENIE

Życie dzisiejsze, nie tylko Europy, ale całego świata cywilizowanego, ułożyło się w ten sposób, że konieczny jest między narodami i społeczeństwami ciągły kontakt i wzajemne porozumienie, oparte na znajomości stosunków w poszczególnych krajach. Polityka, oświata, sztuka, handel, cała kultura ludzka musi opierać się na zasadach wymiany wartości i współpracy. W całości tych stosunków są sprawy, obchodzące tylko dany naród; są jednak i ogólne zadania, które ludzkość wspólnie uczy się rozstrzygać.

I ze słuszną dumą możemy stwierdzić, że zarówno w jednych, jak w drugich, biorą pracowity i twórczy udział, a często nawet inicjują je — kobiety.

Może dlatego zresztą, że sama sprawa kobieca była od swego początku jednym z takich zadań ogólnoludzkich, sprawiedliwości i postępu cywilizacji, i że kobiety, gdziekolwiek występowały w obronie swoich praw, stawiały jednocześnie wysokie hasła humanitarne i wolnościowe.

Wielka wojna, która przeorała do gruntu całą dotychczasową cywilizację, przyniosła między innymi i wzmożenie tego porozumienia międzynarodowego. Kraje, które przed rokiem 1914 ograniczały się do stosunków dyplomatycznych, weszły ze sobą w bliską łączność we wszelkich poczynaniach życiowych, aż do wychowania młodzieży.

Powstała Liga Narodów dla spraw polityki i dyplomacji, lecz jednocześnie zawiązały się wszędzie Koła Przyjaciół Ligi Narodów, tworzące w danym państwie rodzaj jej społecznej ekspozytury.

Bezpośrednio prawie po ustaniu działań wojennych rozpoczęli nanowo swą działalność miłośnicy

pokoju, budując trudną i pracowitą drogę zgody i porozumienia, złagodzenia wojennych krzywd i antagonizmów.

W tym samym czasie zapoczątkowana została akcja Międzynarodowego Instytutu Wychowania, wymieniającego między poszczególnymi krajami nie tylko teorie pedagogiczne i rezultaty eksperymentalne, ale... samą młodzież. I to między krajami tak oddalonymi i różnymi, jak Anglja i Japonja, Czechosłowacja i Ameryka.

W zakresie literatury i sztuki powstaje również szereg zrzeszeń, jak Międzynarodowy Instytut Pracy Umysłowej, Związki literatów, dziennikarzy, artystów. Znakomity znawca teatru, francuz, Firmin Gémier, objeżdża Europę dla zorganizowania wymiany przedstawień, mających zapoznać ze sobą różne kraje w zakresie sztuki scenicznej każdego z nich. Mnożą się kongresy naukowe, artystyczne, zawodowe, a każdy z nich jest albo rezultatem już istniejącego zrzeszenia międzynarodowego, albo tworzy takie zrzeszenie, jako wynik swych obrad.

Wszystkie państwa i społeczeństwa odczuwają, że poznanie się, wymiana rezultatów pracy, ustalenie pewnych praw i łączne podporządkowanie się im wszystkich narodów — są przemożną koniecznością nowej, powojennej fazy cywilizacji.

We wszystkich tych poczynaniach kobiety biorą udział bardzo intensywnie, co ułatwia im uzyskanie już w większości krajów równouprawnienie polityczne. Więcej — pracują podwójnie, gdyż nie zaniedbują dawnej działalności w ligach i związkach własnych, czy to kobiecych, tworząc nawet nowe. Obok istniejących

przed wojną Międzynarodowej Rady Kobiet i Międzynarodowej Ligi Praw Wyborczych Kobiet, powstaje Międzynarodowa Liga Kobiet Pokoju i Wolności, a na terenie każdego kraju dziesiątki nowych zrzeszeń kobiecych, mających niekiedy charakter częściowo międzynarodowy, jak np. Federacja Związków Kobięcych wszechamerykańskich.

Kobiety polskie przed wojną interesowały się bardzo żywo wszystkimi zrzeszeniami kobiecymi, działającymi na terenie międzynarodowym. Chodziło tu przede wszystkim o zdobycie w nich udziału dla polek. Pamiętam, jak na jednym z pierwszych zjazdów Międzynarodowej Rady Kobiet w r. 1911 trudno było przeprowadzić sprawę reprezentacji polskiej, gdyż początkowo Rada w statucie swym przewidywała, jako jednostki narodowe, wyłącznie państwa. Wynikało to prosto z ówczesnej u wielu przodowniczek ruchu kobiecego nieznajomości stosunków narodowościowych i zostało zmienione w znacznej mierze wskutek interwencji polek.

Z chwilą uzyskania niepodległości, z chwilą poważnego wejścia Polski w sferę stosunków międzynarodowych, zainteresowanie kobiet pracą w tych międzynarodowych zrzeszeniach znacznie osłabło.

Fakt bardzo dziwny, niemal paradoksalny, niemniej jednak prawdziwy.

Nie pozostajemy w należytej łączności z wielkimi organizacjami kobiecymi na terenie wszechświatowym, zamało się nimi interesujemy i zamało je znamy. Bierzymy w niektórych oficjalny udział, ale jest to kontakt istotnie tylko czysto oficjalny, daleki i wąty, pozbawiony czynnika bezpośrednich, ciągłych stosunków, wpływów—jednym słowem, pulsu życiowego.

Nic to nikogo u nas nie obchodzi.

Rzecz smutna, ale przecież nawet z naszym, polskim Związkiem Polek w Ameryce nie umiałyśmy nawiązać ścisłej łączności. Zeszłoroczna bytność jego członkiń w Polsce ożywiła te stosunki, było nieco przyjęć, serdecznych słów i wylewów uczucia, rezultat wrażeniowy bardzo miły,—niemniej jednak wspólnej, planowej pracy jakoś po nim nie widać.

Pisma kobiece robią w tym kierunku, co mogą. Informują wyczerpująco o ważniejszych wydarzeniach i pracach stowarzyszeń zagranicznych, o różnych ciekawych faktach, posunięciach i zdobyczach kobiecych w zakresie nauki, sztuki, polityki i społecznictwa; dają charakterystyki i sylwetki działaczek, korespondencje i artykuły, oświetlające psychikę kobiet w różnych krajach; ale przecież prasa—to tylko droga informacji—do czytelników należy właściwe jej wyzyskanie.

A tymczasem nawet samo proste uświadomienie, orientacja przeciętnego ogółu naszych kobiet w tych sprawach jest słaba. I to kobiet bardzo inteligentnych, które napewno o stanie innych spraw mają daleko lepsze pojęcie. O tem jednak, ile jest np., w jakim charakterze i z jakich krajów kobiet w Lidze Narodów, jak pracuje Liga Kobiet Pokoju i Wolności, co to są

panamerykańskie kongresy kobiece, co robi teraz Międzynarodowa Liga Praw Wyborczych Kobiet, jak olbrzymi ruch narodowościowy i kulturalny rozwija się wśród kobiet w Indjach i t.p.—mają niezmiernie małe wyobrażenie. O znajomości poszczególnych działaczek, kobiet, znanych w całym świecie i rozporządzających tam wielkimi wpływami, w sprawach nietylko społecznych, ale i politycznych, jak p.p. Corbett-Ashby-Pethick Lawrence, Annie Besant, Marja Verone, Marja Hainisch i t. p., niema już co mówić.

Ta nieznajomość terenu, osób i warunków pracy w środowiskach porozumienia międzynarodowego znaczyła się bardzo wyraźnie podczas odczytów posłanki Waśniewskiej, gdy zdawała sprawę ze swego pobytu na obradach Konferencji Pracy w Genewie. W dyskusji ujawniały się wielokrotnie zapytania i nawet wnioski, zdradzające absolutny brak orientacji w tych sprawach.

Jakżeż może w takich warunkach istnieć racjonalna i wydajna współpraca? Jak mogą kobiety polskie zająć należne im miejsce i uzyskać wpływ w dziesiątkach spraw, opracowywanych w tych wszechświatowych związkach, spraw, tak ważnych dla kultury i stanowiska każdego społeczeństwa?

Najwyższy czas wejść na inną drogę!

Zając się tem powinny w pierwszej linii stowarzyszenia kobiece.

Przy każdym z nich powstać winna specjalna sekcja zagraniczna, z zadaniem nietylko informowania, ale wprost nauczania członkiń najważniejszych kwestyj i wydarzeń. Dalej, obok tej działalności informacyjnej i wślad za nią, pójść musi współpraca. I tu każde stowarzyszenie może działać we właściwym sobie zakresie. Jeżeli dziś każdy, np., Związek eksporterów danej gałęzi przemysłu musi utrzymywać łączność z odpowiadającymi sobie związkami zagranicą, jeżeli musi robić to samo każdy, poszczególny nawet, poważniejszy kupiec, dziennikarz, nauczyciel,—tembardziej jest to obowiązkiem zrzeszeń kobiecych. I każde z nich powinno wiedzieć i brać udział w tem, co się w danej dziedzinie decyduje na terenie działalności międzynarodowej, oraz być dokładnie poinformowane o stanie rzeczy w poszczególnych krajach. Związki kobiece, zarówno społeczne, jak nawet zawodowe, wyciągnąć stąd mogą tylko daleko idące korzyści.

Przed wojną dla Polski nie istniała prawie zupełnie możliwość wpływu i działania w tym kierunku, wogóle zaś sposobność łącznego występowania organizacji poszczególnych krajów była faktem wyjątkowym. Dziś jednak warunki zmieniły się zasadniczo. Dziś potrzeba takiej wspólnej akcji zachodzi co chwilę. A rozpiętość skali tych spraw jest ogromna. Od zrównania płac do akcji powszechnego pokoju.

I trzeba się z tem liczyć.

Trzeba koniecznie, nie zaniedbując spraw własnych, wewnętrznych, umieć wyjść na szerszy horyzont.

Natalja Jastrzębska.

ZOFJA BRYKALSKA

O PRACĘ TWÓRCZĄ

Słusznie powiedziano, że praca społeczna znajduje się obecnie w fazie racjonalnego rozwoju, dzięki wciąganiu do niej ludzi fachowych—wynagradzanych. Tak być powinno, gdyż z pośród osób, „mających czas“, a więc zamożnych, niewiele wybrać można takich, które prócz czasu mogą dać Sprawie entuzjazm. Zapał znajdujemy najczęściej wśród ludzi, żyjących intensywnie umysłowo i uczuciowo, czujących na cudzą nędzę lub występki i znających je nie tylko z literatury, ale z własnych bolesnych przeżyć. A zatem u ludzi biednych. I dlatego pożytecznym dla Sprawy jest wciąganie w pracę tych właśnie ludzi, i dlatego koniecznym jest wynagradzanie pieniężne ich pracy.

Ale nasuwa się jeszcze pewna uwaga. Dawniej praca społeczna była bezinteresowna. Jeśli dziś staje się ona zawodem (bardzo ciężkim, ale i najmilszym), to czy słusznym jest segregowanie pracy wogóle na społeczną i niespołeczną?

Mnie się wydaje, że dziś, w odrodzonej Ojczyźnie naszej, każda praca jest „społeczną“. Nawet praca szewca, subjekta, czy urzędnika, ślęczącego nad stołem obojętnych mu papierów. W tem cała rzecz, że obojętnych. A obojętność ta rodzi się z przekonania, że j e d y n y pożytek tej pracy, to otrzymana na l-go pensja, dająca utrzymanie.

Wszczepienie w społeczeństwo silnej wiary, że dziś każdy—biedny i możny, utytułowany czy nie—każdy buduje tę nową Polskę, że praca każdego z nich jest pracą społeczną, — wszczepienie tej wiary podniesie w oczach rzesz pracujących znaczenie i powagę ich pracy, da szczyptę zadowolenia tej niewinnej próżności każdej uspołecznionej jednostki, że pracuje „społecznie“ — podniesie wydajność pracy, bo wzbudzi odrobinę entuzjazmu.

Panie, pracujące w różnych stowarzyszeniach ideowych, mogły niejednokrotnie zauważyć to ożywienie, jakie na zebraniach i po zebraniach wywołuje poruszenie jakiegokolwiek aktualnej sprawy. A teraz proszę porównać te zaspane, znudzone fizjognomie po różnych biurach i urzędach...

A jednak... i te znudzone postacie budują Polskę, bo niema dziś jednej placówki, któraby nie wytwarzała materiału pod fundamenta przyszłości narodowej.

Zły jest nasz stosunek do pracy! Pracę trzeba uszlachetnić, wszak nie jest ona „złem koniecznym“; rozumieją to ludzie, którzy w pracy znajdują ukojenie po licznych zawodach w życiu, a nawet po zupełnym bankructwie życia wewnętrznego. Praca stać się może nawet... szczęściem.

I gdyby ci, co pracują niechętnie, co pracę traktują, jako przekleństwo życia, konieczne, bo będące jedynym źródłem utrzymania ludzi biednych, — gdyby oni zrozumieli, że ich praca, ta zawodowa, ta „opłacana“, jest mnożeniem komórek rosnącego organizmu państwowego, że jest to poprostu praca „społeczna“, — ustosunkowaliby się do niej uczuciowo inaczej, a przez to prawdziwiej i pożyteczniej.

Mam wrażenie, że jest to najprostszy, może jedyny sposób uszlachetnienia pracy, która dziś — trzeba otwarcie przyznać — jest w poniewierce.

Dotyczy to między innymi i pracy domowej kobiet. Jedne z nas uważają się za pokrzywdzone przez los, skazujące je na dreptanie przy kuchni, czy przy dzieciach, a nie pozwalające na szersze horyzonty pracy dla bliźnich; inne już wogóle tych aspiracji nie mają, albo wskutek przemęczenia, albo wskutek pewnego niedorozwinięcia zmysłu społecznego.

Wychowanie dziecka na Człowieka jest największym czynem społecznym kobiety, — inne zajęcia są koniecznością, o ile nie mamy warunków na utrzymanie odpowiedniej służby. Ale ta konieczność rozświetlona być może przez świadomość, że całość naszej pracy domowej zapewni zdrowie i szczęście kilku osób, tych najbliższych, i że, summa summarum, daje społeczeństwu żywą komórkę, zwaną rodziną. Społeczeństwo nie jest czemś jednolitem: jest zbiorem tych komórek. To rzecz nie nowa: dawno mówiono i stwierdzono, że upadek społeczeństw czy państw poprzedzony był zawsze przez upadek rodziny, i odwrotnie:—rozwój życia rodzinnego zapewniał rozwój i siłę społeczeństwa.

Naturalnie, rozszerzenie działalności jest pożądane zawsze, gdyż Polska dziś wymaga wielkiego wysiłku i nie wolno się ograniczać do jednej placówki.

Przy każdej pracy—czy biurowej, czy domowej—znajdzie się trochę czasu na pracę w jakimkolwiek stowarzyszeniu ideowym.

Budzenie zmysłu społecznego, uspołecznianie jednostek jest pierwszym obowiązkiem obywatela wolnej Polski. Drugim jest wszczepianie w rzesze pracujących fizycznie czy umysłowo, że każda praca jest pracą dla narodu, nie tylko dla siebie, i że spełniają w zupełności swój obowiązek obywatelski, jeśli czują odpowiedzialność przed narodem za wydajność swej pracy. I może wtedy ukochają tę pracę, czy swój zawód, bo nie każdemu udało się pójść w życiu po linii najgorętszych umiłowań i zainteresowań młodo-

ści. Praca przestanie być tem, czem jeszcze jest: plagą ludzkości,—a stanie się najbardziej wartościową częścią całokształtu życia ludzkiego na ziemi.

Wiadomo, że najwięcej kocha się to, w co się włożyło dużo pracy, kocha się swoje wyniki twórcze. Na Polskę narzeka się dużo, ale narzekają przede wszystkim i najgłośniej ci, co dla niej nic nie zrobili.

Wszyscy, a w szczególności wszystkie—musimy dziś wytężyć siły i uczucia, bo Polski bez tego nie będzie. Łatwo sobie powiedzieć słowami d-ra Filuta z powieści T. Ulanowskiego: „Nie znam nic piękniejszego i większego nad to, że Polska jest, i nic okropniejszego nad to, że jest taka, jak obecnie.“

Jest taką, jaką Ją zrobiliśmy i jaką robimy. A będzie taką, jaką Ją zrobimy!



M. H. SZPYRKÓWNA

CO NAM MOŻE DAĆ WYSTAWA POWSZECHNA?

Dla człowieka, niewtajemniczonego w poszczególne sprawy państwowe, przed którym życie przesuwa się ze strony zewnętrznej—w roku dwudziestym dziewiątym wybija się na czoło akcja, która powinna skupić maximum wkładów finansowych, moralnych i energetycznych narodu, ze wszystkich jego sfer. Dlatego, że może i powinna przynieść maximum zysków dla wszystkich również jego klas, ze strony, żeby tak się wyrazić, rachunkowej. A pozatem istnieje druga strona, niezmiernie ważna: ambicja narodu. Gdyż będzie to pierwsze wystąpienie Polski wobec sędziów zagranicznych, we wszystkich dziedzinach naszego życia. Mam na myśli, oczywiście, Powszechną Wystawę Krajową, która w maju tego roku ma być wykończona i otwarta uroczysto w Poznaniu, przy olbrzymim napływie, zapowiedzianym ze strony naszej zagranicznej emigracji.

Inicjatywa i plan tego wielkiego dzieła spoczywa w rękach jednostek tak wybitnie energicznych i niezłomnych, że poświęcających czas i siły, że zapowiada się jaknajpomyślniej. Przez dwa lata—czas nadzwyczaj krótki, jak na zamierzenie tej olbrzymości—zrobiono niezmiernie dużo. Dyrektor Wystawy p. Wachowiak i prezydent Poznania p. Ratajski, uzgodniwszy wysiłki i plany, zdołali w krótkim czasie dojść do wyników, jak na warunki polskie, bez precedensu. Puste wywieiska dziś roją się od ludzi i gmachów; ogromne hale powstały, jak pod zaklęciem; rozplanowują się tereny pod parki, kwietniki, pawilony z atrakcjami, wesołe miasteczka i t. d., aby umilić masom przegląd imponujących gmachów z maszynami, warsztatami, fabrykatami polskimi i całym naszym dorobkiem dzie-

sięcioletniej, krótkiej pracy niepodległej. Plan jest zakresłony na miarę naprawdę imponującą i realizowany środkami własnego pomysłu, z obliczeniem na jaknajmniejszy deficyt przy jaknajwspanialszym urządzeniu.

Naturalnie jednak, akcja tak olbrzymia wymaga wysiłku i pomocy ze strony całego narodu i wszystkich jego warstw; propaganda, świetnie funkcjonująca w biurach Zarządu, potrzebuje jednak współdziałania ze strony wszelkich warstw i wszystkich klas społecznych. Dlatego sędzę, że dobrze robię, przypominając o niej licznym naszym prenumeratorkom wydawnictw „Bluszczu“, gdyż kobieta, jak wszędzie, tak i w tej sprawie, może i powinna oddać wielkie usługi narodowemu dziełu. Pozatem, udział kobiet w wystawie zapowiada się bardzo interesująco sam przez się i specjalny komitet działa w Warszawie (Zamek), skupiając prace kobiece, któreby reprezentowały całokształt naszych dorobków od czasu niepodległości. Sztuka, nauka, roboty, społecznictwo, wszelkie dziedziny gospodarczo-przemysłowe, gdzie kobieta uczestniczy wybitnie, powinny znaleźć swój wyraz w odpowiednich statystykach i kioskach. W Zarządzie Wystawy w Poznaniu odpowiedni dział prowadzi p. Ruszczyńska (Zarząd Powszechnej Wystawy Krajowej, Poznań), do której należy się zwracać. Ktokolwiek się interesuje sprawą Wystawy—a że jest to jednocześnie i sprawa narodowa, więc wszystkie czytelniczki napewno się nią interesować będą—może zgłosić się po odpowiednią literaturę propagandową, aby się zapoznać z planami prac, a także ze sposobem, w jaki olbrzymie dzieło zdołano w tak krótkim czasie uruchomić,

dzięki umiejętnej i sprężystej organizacji. Poznań oczekuje olbrzymiego napływu gości nie tylko z całej Polski, ale i z zagranicy, która została dokładnie zaznajomiona z akcją. Szczególnie ożywione echo wywołała Wystawa Powszechna wśród naszej Polonji amerykańskiej, która stawia się w imponujących ilościach i buduje własne kioski na Wystawie, dla zademonstrowania dorobku emigracji. Udział tych, którzy niczem innym współdziałać z Wystawą nie są w stanie, powinien polegać przynajmniej na tem, ażeby jaknajgorliwiej rozpowszechniali o niej wiadomości w swoich kołach i zachęcali wszystkich, kto może — do jej zwiedzenia. A i dla każdej kobiety byłoby szczególnie ważne móc samej pojechać do Poznania i własnymi oczyma obejrzeć wspaniały dorobek pracy kobiecej i powszechnej, w której kobiety trzymają słusznie znakomite miejsce. Jako ta, która kieruje budżetem rodziny, nauczy się, co może i gdzie? i u kogo? kupić taniej, wyprodukować w kraju, wysłać zagranicę, jeżeli pracuje wytwórczo. Pozna najnowsze oszczędnościowe urządzenia, gospodarcze inowacje, zakres działalności kobiecej wogóle i to, co by mogła robić sama, w szczególności. Będzie widziała, jak i czego ma uczyć dzieci, jak i czemu ubierać się odpowiednio, skąd czerpać informacje. Pozna, o ile nie zna całego kraju — a któraż go zna!.. — wszystkie odmiany naszych okolic, obyczaju i stroju; zobaczy moc ciekawych, nieznanych rzeczy; dowie się o całym szeregu bogactw, jakimi nasza ziemia rozporządza, i wróci, gdziekolwiek mieszka, silniejsza, pewniejsza, dumniejsza z kraju, który to wszystko posiada i tak wiele zdołał już zrobić, wbrew pesymistycznym pojękom „popsujów”, jak ktoś słusznie nazwał kategorię wiecznych niezadowolenców.

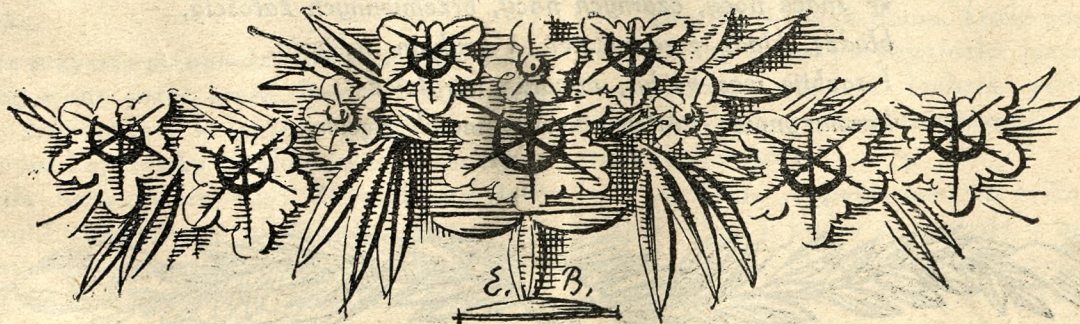
A ważnem jest nad wyraz, aby właśnie kobiety tak czuły i tak myślały, bo one to wychowują naszych przyszłych ministrów i naszych jutrzejszych fachowców, naszych działaczy państwowych i cały nasz jutrzejszy rząd! Niechże wychowują w prawdziwej, a nie sztucznej ufności w siłę i potęgę swego kraju, w spokoju, że Polska jest wielka i bogato obdarowana: tylko więc od jej syna i córki zależy, czy nie umniejszą jej potęgi i nie obrabują z bogactw, nie wypłacając się wzajem! A któraż matka chciałaby,



Uczestnicy Zjazdu Prasy z całej Polski, zorganizowanego przez Zarząd Wystawy dla zapoznania kraju z postępami prac przygotowawczych.

aby tak było? A któraż nie marzy, aby jej syn był tym, przy którego współpracy i radzie Ojczyzna stanie się wspanialsza, i pracowitsza, i bardziej rządna? Tak marzy — bodaj czasami, bodaj dla siebie tylko!.. — niejedna. I — w jej mocy jest wychować budowniczych kraju!

Niechże o tem pomyśli przy tej wielkiej i rzadkiej sposobności, jaką nam wszystkim daje Wystawa Krajowa — żywy przegląd naszych możliwości i naszego dziś, ażeby jutro było jeszcze lepsze! I — aby nie pozostać w krainie marzeń, tylko przeprowadzić rzecz konkretnie: proponuję każdej z pań do budżetu noworocznego wprowadzić pozycję: „Wyjazd na Wystawę Powszechną”. I od stycznia do maja odkładać złotówki — nie tak wiele ich będzie trzeba, kolejowe zniżki są przewidziane — na ten konkretny, ciekawy i najgłębiej kształcający cel, który zarazem będzie i wielką rozrywką (Poznań jest śliczny), i wielką korzyścią. A w ten sposób każda z nas wpłaci swój nieduży wkład, który w sumie może się znakomicie przyczynić do finansowego powodzenia i moralnego rozkwitu naszej pierwszej polskiej Wystawy Powszechnej — wyniku nie tylko wielkiej pracy, ale i wielkiego ukochania kraju, którego barwność, piękno, obyczaj i bogactwa chcemy pokazać obcym i swoim, w dziesięciolecie jego odzyskania!



LUCYNA KRZEMIENIECKA

O K N A

Gdzież jesteście, domowe, czarodziejskie okna,
chroniące nas przed życiem, jak cudowne ziele?
Czy pamiętacie jeszcze pierwszy, chwiejny krok nasz,
pierwsze nasze modlitwy i serc pierwszy szelest?

Czy pamiętacie bzowe, fjołkowe poranki,
gdy maj w waszej jasności wiersz o wiosnie pisał,
gdy myśli były proste, polne, jak rumianki,
liść słońca się na drzewie niebieskiem kołysał?

Rozpachnione pieszczalki żywych tataraków
nieraz w waszych kącikach matka ustawiała,
i zdało się, że Pan Bóg moc największą zakuł
w was właśnie, w tataraki i w jej dłonie białe.

A podczas burz lipcowych jak bezpiecznie było
z nad parapetów waszych patrzeć w krąg błyskawic
i nie wiedzieć, że kiedyś będzie się walczyło
i że słów piorunami usta się pokrzwawi.

Podczas słoty jesiennej z pękających gąsiorów
do paciorków deszczowych śmiał się szkarłat wiśni.
Czerwieniały zielone serca pomidorów,
a na szybie spokojnie jakiś zwiędły liść snił.

W zimie stąć można było cicho godzinami
przy szybach, srebrem skrzących, pisać, pisać na nich...
śnieg zawisał w powietrzu długimi rzędami,
a radość cwałem gnała na dzwoniących saniach.

Aż otwarto was z trząskiem na ogromne życie,
w złą mękę niepewności, czynu ciemną otchłań.
Zamknięto was nazawsze — już nie obronicie
młodości naszej słońca - czarodziejskie okna.

W snach nocy, czarnych nocy, brzemiennych żalością,
błądzą, blady przechodzień, i szukam zakłęcia.
I rozbiję was kiedyś, otworzę naroścież
karmazynowo - złotem wierszy moich cięciem.



EUGENJA MASIEJEWSKA

3)

JAK PANI NIUSKA ZMIENIAŁA SŁUŻĄCĄ

(Lumoreska wileńska)

— Ja nie chcę tej służącej! — płakał Zbyszek w objęciach dyszącej zgrozą Izabeli, która wyniosła go do kuchni.

Kandydatka zamieniła się w czarny słup oburzenia.

— Pani będzie łaskawa zwrócić mnie moje papiery — rzekła z przenikliwą godnością. — Widać, że pani dawna służąca, to jakaś intrygantka.

Otrzymała swoje papiery i odeszła, a pani Niuska długo musiała uspokajać synka, który rozżalił się na cały wieczór. Gdy nareszcie naprawiono elektryczność i wrócił pan domu z kina, zapłakany Zbyszek, czerwony i spuchnięty, spał na kanapie, a jego matka siedziała przy nim skulona.

Ten nastrój rodzinny udzielił się i małżonkowi, który podrapał się po szyi, mocno zakłopotany.

— Widzę, że jesteś, jak gradowa chmura. Te kobiety dziwnie umieją zakwaszać domową atmosferę. Odpowiedziało mu milczenie.

— No, no, Niuska, nie spuszczaaj nosa! Zobaczysz, że znajdziemy sobie służącą. Właśnie dowiedziałem się, że od Zwolskich ma odejść ich Zosia. To takie słodkie stworzonko, ładne, uśmiechnięte i eleganckie. O ileżbym ją wolał od tego dragona — Izabeli!

— A dlaczegoż ona odchodzi? — spytała podejrzliwie pani Niuska.

— Za ciężko jej tam, podobno. Tyle osób! U nas od pocznie.

— No, to z nią porozmawiaj — jęknęła pani Niuska. — Mnie już sił nie wystarcza.

— No, nie przesadzaj! Cóż to? Ziemia się zapadnie, że Izabela od nas odchodzi? Babskie histerje!

— Bardzo na miejscu jest ta męska obojętność w przyglądaniu się kobiecie, wbijanej jak motyl na szpilkę! — rozżaliła się pani Niuska, nie mogąc dźwignąć ciężkiego Zbyszka, którego chciała przenieść na łóżeczko. Musiał jej w tem pomóc mąż i oboje z wielką trudnością rozebrali śpiącego jedynaka i otulili go ciepłą kołderką.

Nazajutrz przyszło po obiedzie owo „słodkie stworzenie“, protegowane przez męża. Rzeczywiście, była to przystojna dziewczyna, w lakierowanych pantofelkach i zgrabnym kapelusiku. Podobała się pani Niusce, która lubiła ładne twarzyczki. Zbyszek też dość chętnie pozwolił „nowej“ się ucałować, a pan domu był niezmiernie zadowolony, że umowa doszła do skutku. Izabela tylko spochmurniała i trząsała w kuchni garnkami, dowiedziawszy się, że „nowa“ przychodzi pojutrze.

W parę godzin później niespodziewanie zaszła pani Zwolska i na wstępie rzekła do pani domu:

— Słyszałam, że moja Zośka przyjęła tu miejsce służącej. Muszę panią poinformować, z jakiego powodu odchodzi ona ode mnie. Otóż romansowała z naszym lokatorem i po całych nocach nie bywała w domu. Nie wiem, czy to się pani spodoba.

— Ależ... wcale mi się nie podoba! Mój Boże, co to będzie? Przecież już się z nią umówiłam!

— Chcę panią uprzedzić ze względu na Zbyszka. Nie sądzę, żeby lekkomyślna Zosia mogła być dobrą jego opiekunką. Jakies parę tygodni temu przyszła nad ranem zupełnie pijana.

— Jezus, Marja! — krzyknęła przestraszona pani Niuska. — Jerzy, słyszysz?!

Wszedł pan domu, który skrzywił się, dowiedziawszy się, o co chodzi.

— Czy to nie przesada, proszę pani? Ładna dziewczyna, nic dziwnego, że chce się pobawić.

— Tak... tak... mój mąż też był dla niej dość pobłażliwy — uśmiechnęła się zjadliwie pani Zwolska. — Ale nam chodzi o nasze dzieci. Ja mogłam ją mieć u siebie, bo sama jestem w domu, ale pani Niuska zmuszona jest do pracy zarobkowej poza domem i powinna bardzo namyślić się, komu ma powierzyć dziecko. Zresztą, jak państwo uważają — rzekła z urazą w głosie.

— Dziękuję panu! Za nic jej nie wezmę! — zdecydowała pani Niuska.

A ponieważ Zosia nazajutrz wpadła dowiedzieć się, kiedy ma przyjść ostatecznie, pani Niuska powiedziała, że się rozmyśliła i wziąć jej do siebie nie może. Z woli żony musiał przy tem asystować pan domu dla powagi.

Zosia zachowała się bardzo czupurnie i na zakończenie rzekła:

— Ja i rada, że nie będą u państwa, bo u inteligencji, a przeważnie u nauczycielów, służyć nie warto. Same nie mają co do gęby włożyć, to i służąca u nich nie pożywi się.

Uraziło to pana domu, który poradził słodkiemu stworzeniu, żeby przytrzymało języczek na wodzy.

Okazało się, że Izabela podsłuchiwała pode drzwiami i po wyjściu dziewczyny rzekła do strapiionych małżonków:

— Takie „kapeluszyste“ to tylko na lekkie życie zdadne. Ona i pudry potrzebuje, i na gęba ktoś wie czego namaże, i żeby wszystkim pokazuje, bezwstydnica! A o naszym panu, to tylko taka i dogodził!

— Proszę się wynosić do kuchni! — zagrział pan domu. — Nie potrzebuję głupich uwag!

— Ida, idal.. Prawda w oczy kole! — odkrzyknęła już za drzwiami Izabela, która lubiła w dyskusji mieć ostatnie słowo.

— Jerzy? No i co to będzie? — zapytała pani Niuśka złamanym głosem.

— Musi jakoś być... poczekaj. Ale, ostatecznie, możesz tę wiedzmę zostawić, jeżeli ci o nią tak chodzi.

— Ona już teraz nie zostanie. Zresztą, ona też ma... swoje kawalki. A te różne babsztyle, co u niej wiecznie w kuchni przesiadują? A ta niegrzeczność? Tylko dla Zbyszka jest łagodniejsza, bo w popędliwości to może i tobie dorównać.

— Mnie? Ja, to co innego! Jestem mężczyzna.

To od kobiety wymaga się słodczy charakteru. A ta twoja Izabela nadaje się raczej na dozorcę więzienia... Uff!.. Niech ją cholera!..

— Ach! ach!.. Mamusiu, tatuś wyraża się!.. i to przy dziecku—...zgorzył się mądry Zbyszek, wyłaząc z pod stołu.

— O! — powiedział zakłopotany ojciec,—zawsze zjawiasz się w nieodpowiedniej chwili.

— Przy kim więc mam to biedactwo moje zostawić? — zaliła się matka. — Słyszałam, jak Izabela wyprawiła go z kuchni, bo, zdaje się, znów tam przyłazł jakiś babsztyle.

— Ale ja się zemściłem i właśnie odkręciłem kran przy kotle! — wypalił Zbyszek.



ZOFJA KACHEL-KELLEMOWA

SPÓŹNIONA WIOSNA ERYKA VAN SOOLDEN

Mała sala jest pełna kwiatów i melodji. W rozgrzanem, pachnącem powietrzu połyskują kolorowe lśnienia klejnotów i kwitną uśmiechy. Za oknami marznie w migocie gwiazd przezroczyta noc. Bal jest prześliczny — jak bajka. Tylko Ludwik Szesnasty. Nic nie kazi jednolitości strojów, fryzur, gestów i słów. Melodja opływa płomienie światła i żyje w smugach tytoniowego dymu, który — jedyny — podkreśla swem istnieniem czar nieprawdziwego zdarzenia.

Eryk ma siwe skronie i nie tańczy oddawna. Jego oczy — chłodne, jak dwa błękitne skrawki lodu — czujnie rysują pod ciemnymi powiekami harmonję linji i ruchów. Piękne usta, w których ponsowym cieniu drzemią drapieżne, białe zęby, uśmiechają się układnie. Eryk jest znakomitym malarzem. Nosi najpiękniejszy, dworski strój. Jest kochany szczerze i głęboko przez wiele serc. Zna napamięć początek i koniec każdej przygody. Przynajmniej — jest o tem przekonany i nie liczy już na nic. Zachowanie jego nacechowane jest pewnem znużeniem.

Kobiety na balu są bardzo piękne. Codziennosc ich spłynęła, jak woda po kryształowem szkle. Są, jak kolorowa, nietrudna, ładnie brzmiąca poezja. Srebrne peruczki nadają znanym twarzom wdzięk obcości i tajemnicy. Mimo wszystko, Eryk jest zadowolony i czeka. Sam nie wie dobrze, na co. Ale kiedy po stylowym gawocie pary rozsypują się gwarnie, jak pstre kamyki, rzucone na metalową tacę — Eryka nie dziwi ani nagła cisza, ani pojawienie się obok starego szpinetu malutkiej, czarnej pierrotki.

W pudrowanej twarzyczce lśnią oczy, malowane błękitnym tuszem. Eryk dziwi się troszkę: jest to jedyna Pani nie w krynolinie, lecz w króciutkiej, koronkowej spódniczce, która wzlata, niby otwarta parasoleczka, nad jej smukłymi nóżkami. Pięć białych pomponów leży na sukience, jak śniegowe, puszyste kulki. Pani ma pod małą, okrągłą czapeczką loki rude, jak czysta miedź. W ciszy śpiewa wysokim, cienkim głosem serenadę włoską, na kroplistem tle szpinetowej muzyki. Piosenka ma lazurowy kolor, pachnie błękitnem morzem, i kiedy Eryk spogląda w okno, za którym tańczą migotliwe drobinki śniegu, myśli jego stają się lekkie i radosne, jak mrożone wino. Nieuzasadnione, szczęsne zdumienie budzi się w jego oczach i serce zaczyna bić w takt gorącej piosenki. Serce malarza, który oddawna całą namiętność oddał zimowej bieli i którego śmiertelnie znużyły słońce, miłość i zdrady.

Noc mija. Zapachy, lśnienia, migoty i śpiewność. Nad ranem już, kiedy trzeba odejść, zbliża się mała pierrotka. Zbliża twarzyczka jej jest twarzą modnej laleczki. Eryka ogarnia lęk i żal. Nie chciałby zepsuć sobie wrażenia. Jest egoistą. Ale potrafi być grzeczny. Cóż może powiedzieć malutkiej pani w czerni? Był bardzo daleko, kiedy śpiewała. Zamarzył nagle przezrazliwie mocno i nielogicznie o pewnem mieście, cudownem, cichem mieście, gdzie był dawno! Noc była tak samo mroźna i płonąca, a z pobliskiej katedry płynął chór dzwonów. Nad sennemi, zmarzłemi kanałami spały dostojne, stare domy. Przez okno zaglą-

dała błękitnie płonąca, łukowa lampa w welonie ze śnieżnej mgły. O tysiąc mil był karnawał i szumna radość. Ale w sercu, na samym dnie, żyło szczęście. Noc była krótka, jak ta. Blisko — bliźniak był ktoś w czerni, ktoś najbliższy i bardzo kochany. Eryk jednak słuchał dzwonów i nie widział, że ktoś przy nim płacze. Łzy były szczere, bo płynęły z tęsknoty za tańcem i z goryczy, że Eryk woli światło księżyca i bicie dzwonów kościelnych, niż lampy balowej sali, saksofon i banjo. Była to najzwyczajniejsza omyłka i dzień, który nadszedł, zabrał wszystko. Odtąd Eryk omijał ciche miasta i unikał zasłuchania się w muzykę podniebnych dzwonów. Malował portrety kobiet o płonących wargach i piersiach i pozwalał się kochać. Głęboko w sercu leżał umarły sen dalekiego miasta. Ale tego wszystkiego nie mówi małej pierrotce. Mówi jej zato o pięknie włoskich serenad i krynolin z połyskliwych jedwabi. O czarze jej miłego głosu i spojżenia, ciepłego, jak lato. Słowa są uprzejme i odległe. Zapytuje o jej imię i słyszy wymówione ze śmiechem: „Colombina”. — „Nie wygląda pani na gołąbkę” stwierdza z przekonaniem Eryk. I, idąc po linii starej, zużytej swojej grzeczności, zachwyci się jej urodą, potem zaś, zupełnie znudzony, zaprasza ją do siebie. Pierrotka śmieje się ładnie i cichutko. Kiedy kiwa główką, dostrzega Eryk rubinowe kolczyki i cień niechęci osiada mu na oczach, ale ledwoznacznie — na rękach prawie. Skłania głowę.

* * *

W atelier jest sześć lamp. Jedna w kącie — z kolorowych, weneckich szkieł. Pachną brzoskwinie i mocna kawa. Na małym maurytańskim stołku leżą długie papierosy. Niema wcale kwiatów, ale na ciężkich, srebrnych paterach gasną winogrona, jarzą się pomarańcze i pokój pełen jest barw z dywanów, ciemnych tafli luster i kryształów. O szóstej Eryk odprawia służącego i przed szeroką, turecką otomaną rozściela białą skórę niedźwiedzia. Mały patefon ustawia w pobliżu i zakłada nową igłę. Płyta: hawajskie tańce. Rozpyła w powietrzu bryzgi perfum. Przez sekundę zastanawia się, czy w pokoju nie jest zbyt chłodno. Zima jest ostra — a suknie odwiedzających go kobiet są tak lekkie!

Delikatne pukanie. Atelier jest wysoko i winda tu nie dochodzi. Trzeba przejść jeszcze sześć stopni. Eryk szybkim ruchem otwiera drzwi. W progu stoi mała postać, zakutana w ogromne futrzysko. Nie wchodzi zupełnie i rzuca krótkie i szybkie: — proszę zgasić światło! — Ze zdziwionym wahaniem Eryk przekręca kontakty. Zostaje jedna tylko, wenecka lampa,

siejąca stłumiony blask. Z wątych, spadzistych ramion osuwa się na podłogę płaszcz, i przybyła sara teraz nanowo zapala lampy. Przed zdumionym Erykiem stoi wczorajsza pierrotka, w swej czarnej, koronkowej spódniczce, ze sztucznymi, rudymi puklami pod malutką czapeczką. Uśmiecha się poważnie i przyjaźnie.

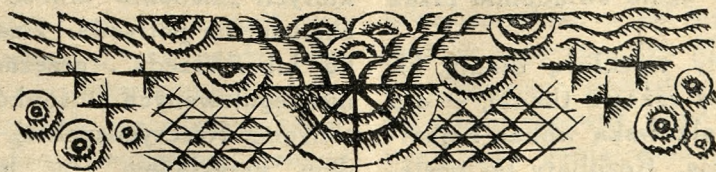
Eryk jest zażenowany. Poraz pierwszy w życiu nie wie, jak się zachować wobec tej zabawnej, nie-realnej wizyty. Kokieteryjna mała pani nie ośmiela go wcale. Siedzi w głębokim fotelu i odmawia papierosa. Z zamysłonym uśmiechem pije kawę i pobłażliwie słucha cichutkiej melodji hawajskiej. Nieoczekiwanie zaczyna mówić. Opowiada o sobie prostymi, codziennymi słowami: — niecierpi muzyki. Zna jedną jedyną piosenkę: włoską serenadę, którą nuci pół-przymkniętymi ustami. Z głęboką, nieudaną tęsknotą wspomina dżdżyste dni w dalekim mieście, skąd pochodzi. Miasto jest stare, ma senne kanały i najpiękniejszą katedrę, z której co wieczór płynie pieśń podniebnych dzwonów. — Oczy Eryka stają się ciemne i głębokie. W nagłym milczeniu serce jego wzbiera, podnosi się wysoko, ku gardłu, i dławi. Ręce splatają się boleśnie. Ale na ustach wykwita czarujący, tkliwy uśmiech.

Mija krótka noc. Noc — ilustracja, pełna dekoracji, za którą skryte jest nieśmiałe życie. Eryk wstydzi się: niedźwiedziej skóry, likierów i swego niepotrzebnego żalu. Jest już stary, ale wie, że przyszła do niego wiosna. Wiosna?

Mała, czarna pierrotka chce już odejść. Podnosi się z fotela. Eryk jednak ujmuje jej dłonie. Przez chwilę patrzą sobie w oczy, potem padają słowa Eryka, gorące i błagalne. Mała pani zakrywa powiekami spojrzenie.

Nie odpowiada. Ze słicznym, perswadującym uśmiechem unosi w górę dłonie i, ociągając się nieco, zdejmuje czarną czapeczkę. Raz jeszcze uśmiecha się przepaszająco. Potem nagłym, miękkim ruchem zdejmuje rudą peruczkę. W bezlitosnym świetle błyszczą czyste, siwe włosy, wokół zmienionej nagle, obcej, starej twarzy.

Niezatrzymywana zrazu, mała pani kieruje się ku drzwiom. Eryk spogląda w okno. Jest zima. Cichutko pada śnieg. Lampa łukowa na ulicy mruga poprzez welon mroźnej mgły. Jednym skokiem Eryk dogania odchodzącą i zagradza jej drogę. Wzburzonym, radosnym głosem proponuje: — pojedą razem do miasta dzwonów, zaraz! — I, czekając na odpowiedź, Eryk przyciska dłonią bijące serce.



STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW

ŚWIAT W SERCU

Zofja Nałkowska: „Niedobra miłość”—romans prowincjonalny
Nakład Gebethnera i Wolffa.

Pod skromną etykietą „romansu prowincjonalnego” ukrywa się produkt najwyższego gatunku, coś, co możnaby nazwać esencją sztuki. Droga, po której dąży z każdym krokiem coraz bardziej olimpijska twórczość Nałkowskiej—jest drogą stałej ewolucji. Każda jej książka jest nowym szczeblem i nową rewelacją w dziedzinie sztuki. Poza „Romansem Teresy Hennert”, który był błyskawicą, oświetlającą nieznaną dotąd możliwości Nałkowskiej: zdolność przetrwania się od czysto jednostkowych, indywidualnych przeżyć, o charakterze kosmopolitycznym, do tematów, ściśle związanych ze zbiorowością polską; od czelowania szczegółów do szerokiego podmalowania tła,—na tej drodze rozwojowej nie spotykamy niespodzianek, skoków, ani śladów mozołu. Cały ogrom pracy, cały balast materiału, zużytego na napisanie książki, którą się pochłania w ciągu jednego wieczoru, jest przed nami troskliwie ukryty. Słowa, obrazy, losy ludzkie, niezwykle, bezbarwne lub tragiczne, spływają z jej pióra falą tak gładką, równą, skończoną, jakby się działy nie za sprawą ludzką, ale za przyczyną dobrotliwego żywiołu, który te rzeczy od wieków tak właśnie, a nie inaczej, ułożył.

Nie znaczy to bynajmniej, aby książki Nałkowskiej były zawsze pogodne. Nie, są raczej smutne, choć nie ponure. Leży w nich, bowiem, na dnie świadomość przemijania, która najpiękniejszym wzlotem i porywom ludzkim przypina skrzydła melancholji. Ale zarazem w ich konstrukcji tkwi olimpijski spokój i harmonja, która najtragicznieszym postaciom nadaje kształty posągowe. Załamania wewnętrzne, kataklizmy życiowe nie psują ich klasycznej linii, raczej ją uszlachetniają. Za każdym z tych załamań, jak za załamaniem muru, otwierają się nowe perspektywy.

Agnieszka, np., która, jako kobieta szczęśliwa, ma w sobie coś z ptaka, motyla, rosy porannej w swej wiecznie ruchliwej świetlistości, — później, kiedy zła mała ją „niedobra miłość”, krzepnie w marmurowy posąg boleści, którego każdy rys jest arcydziełem prawdy i, posuniętego do granic ludzkiej potęgi, sztuki. Błyskotliwa, radosna, piękna i nieciekawa—stała się patetyczną heroiną, zapłonęła ogniem namiętności tak żywym, że go zapomnieć niepodobna. Dodajmy, że jaskrawość tego ognia świadomie przez Nałkowską jest stłumiona.

Płomień świecy, ogarnięty troskliwą dłonią, filtrującą nadmierny blask przez różowe tkanki, — oto obraz taktyki, jaką stosuje Nałkowska wobec najbardziej brutalnych objawów życia. Rezultaty tej posta-

wy wobec rzeczywistości nie mają wprost ceny. Dzięki niej nawet ludzie, tak nieodwołalnie, zdawałoby się, stojący poza życiem, jak Słuczański, w pewnych momentach stają się romantyczni, bo romantyczną może być i stara rudera, — wyłaniają się z ciemności własnym światłem, chociaż to jest tylko światło próchna.

Świadome ścieśnienie rozległych kręgów, jakie na wodach powojennego życia polskiego zatoczył „Romanse Teresy Hennert”, do skromnej sadzaweczki jednego prowincjonalnego miasta, i to w zakresie jedynie tylko jego spraw towarzyskich, spowodowało skupienie środków artystycznych na jednym centrum, wspólnym wielu okręgom kół o odmiennym promieniu.

Centrum tem jest serce kobiece, w zaciszu i pozornej martwocie prowincji dojrzewające do żniwa wielkiej namiętności. Dla jednych staje się ona słodkim owocobranem, dla innych—kleską, lub całopalną ofiarą.

Mężczyźni, wciągnięci w obłądne wirowanie tych kół, naogół zachowują się biernie wobec niej, jakby to była siła kosmiczna, przyjmując z fatalizmem dary i ciosy z jej rąk.

Motorem tej siły jest zawsze kobieta,—mężczyzna jest tylko punktem zaczepienia. W systemie planetarnym, kierowanym przez kobietę, odgrywa rolę inercyjnej bryły. Takim jest Blizbor, Ahaswer miłości, przenoszący swe ponure bagaże od Agnieszki do Renaty; takim jest notoryczny cierpiętnik Słuczański; takim—zapatrzony w teroryzującą całe otoczenie amerykańkę—młody Osieniecki; takim wreszcie—Justyn, podający się bezwolnie miłości rozkwitłego prowincjonalnego kopciuszka.

Możnaby tu zrobić zarzut, że takie rozpatrywanie życia wyłącznie pod kątem erotyzmu powoduje zwężenie horyzontu powieści, wyłamuje ją, wyodrębnia i odosabnia wpośród złożonego kompleksu zjawisk natury ogólnej. Są to jednak tylko pozory. Autorka nazwała wprawdzie swoją książkę „romansem prowincjonalnym”, ale ta prowincja ma dość głęboki rezonans, aby w nim niesfałszowanym echem zabrzmiały odgłosy stołecznych i regionalnych wstrząsów.

Istnieje zresztą w powieści cały szereg ludzi, których „niedobra miłość” w swym triumfalnym pochodzie nie potrafiła. Zaasekurowani od niej „z wieku lub z urzędu”, grzęzną po uszy w trzęsawisku nieuregulowanych stosunków prawno-społecznych odrodzonej Rzeczypospolitej. Klasycznym pod tym względem przykładem jest hrabina Osieniecka, jeden

z ostatnich szczątków „niezwycięzonej Armady“ konserwatyizmu, ugodzony śmiertelnie i wyrzucony na nieznaną łódź nowoczesności przez amerykański dreadnought w osobie wszechwładnej synowej Fleur.

Inni nieomylnym instynktem pływaka utrzymują się na powierzchni, jak np. owe świetnie uchwycone w locie komety M. S. Zetu w rodzaju Walewicza, osypujące od czasu do czasu deszczem iskier mroczny prowincjonalny zakątek.

A dołem pełną tacy Słuczańscy, szara miazga ludzka, bezosobowy il, stłoczony na dnie zmiennymi prądami chwili. Wszyscy ci ludzie żyją, mają sobie tylko właściwe twarze, a losy ich zająkują się o siebie w sposób niedostrzegalny, a jednak konieczny. Bowiem, mówiąc słowami Nałkowskiej, „w miejscu, gdzie kończy się nasza dusza, zaraz zaczyna się inna. Nasza złość przylega ściśle do cudzej dobroci, kurczy się od jej wielkości, albo ją sobą pomniejsza i ogranicza“. A dalej nieco: „Dziedzina relacji psychicznych, tych najściślejszych zależności i powiązań, jest doskonale zorganizowana: podlega prawom równie ścisłym, a bardziej zadziwiającym, niż układ ciężenia w systemach słonecznych świata“.

Ten filozoficzny punkt widzenia ułatwia Nałkow-

skiej stanowisko nieco chłodnej pobłażliwości wobec czynów ludzkich. Nie stoi ona z nimi na równi, nie bierze w nich udziału: patrzy na nie z wysoka, niejako z lotu ptaka. A obserwując je, wystrzega się pilnie wniosków, uchyla od wydawania sądu. Jest wobec nich beznamiętna.

To dźwignięcie się na wyżyny, nie dla każdego twórcy dostępne, nie zdaje się być owocem wysiłku; jest raczej dziełem rytmu wewnętrznego, szeregiem kolejnych wdechów i wydechów, z których każdy, coraz to głębszy, odświeża płuca powietrzem nieskończoności, spokrewnia duszę z tchnieniem człowieka wiecznego.

I podczas gdy Kaden z fanatyzmem zapaleńca, w szale bojownika, miota swój „Sąd ostateczny“ na kopalniane sklepienia Zagłębia,—Nałkowska oprawia świat, jak klejnot, w pulsującą rozetę serca ludzkiego. I jeżeli o „Lenorze“ powiedziec można, że to jest wspaniały fresk, poczęty w gniewie, fresk, na którym wije się Polska w męce niedosytu,—to książka Nałkowskiej jest miniaturową, z której nic ująć, ani nic dodać niepodobna, i na której nawet najstraszniejszy z demonów, jakim jest głód miłości, ma przesmutne oczy i skrzydła anioła, wygnanego z raj.



Z ŻYCIA MUZYCZNEGO

Mało jest książek polskich z dziedziny historii muzyki. Monografie muzyczne, ukazujące się sporadycznie, nie budzą wielkiego zainteresowania, jako książki oderwane, wyczerpujące pewien temat na przestrzeni lat, i, dzięki temu, tkwią uporczywie na półkach księgarskich. „Biblioteka muzyczna“, która podjęła ciągłość utrzymania kontaktu czytelników z muzyką, wydała dotąd sześć monografii muzycznych. Wydawnictwo tej „Biblioteki“ ma podwójne znaczenie pedagogiczne.

Przedewszystkiem w formie barwnej i przeważnie mile anegdotycznej podsuwa czytelnikowi bogate wiadomości z zakresu historii muzyki i jej literatury, kładąc główny nacisk na monografie muzyków polskich, o których twórczości i znaczeniu ogół polski, nawet interesujący się muzyką, wie bardzo niewiele, albo zna jedynie z nazwiska kompozytorów, zasługujących na większe uznanie we własnym kraju. Ponieważ każdy tomik „Biblioteki muzycznej“ stanowi

zamkniętą w sobie całość, niezależnie od kolejności, zaczęną od jubileuszowych.

Setną rocznicę śmierci Schuberta uczciła „Biblioteka muzyczna“ monografią Karola Stromengera p. t.: „Franciszek Schubert“; drugi jubileusz, zainspirowany wśród muzyków, jubileusz wielkiego polskiego muzyka, doczekał się monografii, mającej na celu przyjrzenie się zbliska postaci najślawniejszej dziś zagranicą, a docenionej należycie raczej przez obcych, niż wśród swoich!

Ignacy Paderewski obchodzi w tym roku złote gody ze swoją najświetniejszą sztuką odtwórczą; pięćdziesiąt lat temu otrzymał dyplom warszawskiego konserwatorium, jako glejt dla rozpoczęcia kariery wirtuozowskiej, i od tego czasu zaczyna się bujny rozkwit jego artyzmu. Młody Paderewski, pochodzący ze skromnego gniazda szlacheckiego, musiał własnymi siłami torować sobie drogę do wyżyn, przeznaczonych jego genialnemu talentowi, jako że wykształ-

cenie, które otrzymał w Konserwatorjum warszawskiem, było jedynie podstawą dla dalszych fachowych studjów muzycznych. Wytknięty cel wiedzie go do Berlina, potem do Wiednia, gdzie u Teodora Leszetyckiego zaczyna się mrówcza i prawie elementarna praca, dążąca do osiągnięcia doskonałości technicznej, a towarzysząca mistrzowi po dziś dzień.

Świątną charakterystykę Paderewskiego dał muzyk zakopiański, góral, Bartek Obrochta, który sławnemu już wówczas pianiście poddawał motywy góralskie dla jego „Albumu tatrzańskiego”: „Te palce to mu ino śmigwały po tym fortypianie. Grołek mu sporo razy. I on wicie tak pochytał i tak poskrodoł, że całom muzykę z tego zrobił...”

A tymczasem sława Paderewskiego szła w świat wielkimi krokami i niosła w sztuce polskiego muzyka imię Polski, zaczarowane w mistrzowskie, niezrównane tony fortepianu, gdy kompozytor wzbogacał swój dorobek twórczy w pieśni, utwory instrumentalne, rzecz jasna, przeważnie fortepianowe, orkiestrowe, wreszcie w operę: „Manru”.

Europa staje się zbyt ciasnym terenem dla laurów Paderewskiego: szeroką areną jego triumfów artystycznych, najwdzięczniejszem polem sławy jest Ameryka. Ubogi niegdyś muzyk, zdobywszy nazwisko o fascynującym brzmieniu, nie zapomina o kraju i, wróciwszy w roku 1898 do Warszawy, z wielkopańskim gestem daje trzy koncerty na cel dobroczynny. Potem przemawia i w słowach swoich pozostawia niezatarte nigdy wspomnienie wielkiego mówcy. Po pierwszym wystawieniu w Dreźnie „Manru”, opery o motywach góralsko-cygańskich, Lwów, czujny na dźwięk sztuki polskiej, wystawił dzieło Paderewskiego z największym entuzjazmem.

Mimo wszystko, karjera Paderewskiego-pianisty wzrastała w nieprzerwanem tempie. Czas, wolny od podróży artystycznych po Ameryce i dalekiej Australji, spędzał mistrz zawsze w swojej posiadłości szwajcarskiej w Rion Bosson, gromadząc wokół siebie elitę Polski artystycznej i wybitnych gości ze świata. Kiedy wybuchła wojna, Paderewski wraz z Sienkiewiczem zorganizowali „Komitet pomocy”; ale wielki artysta chciał odpowiednią chwilę wyzyskać dla czegoś więcej jeszcze, niż dla organizacji społecznej. Trzysta mów, wygłoszonych w różnych miastach Ameryki, było wołaniem syna, który prosił o pomoc dla swojej matki-ojczyzny, a echem tego głosu było utworzenie armji polskiej w Ameryce.

A potem triumfalny wjazd Paderewskiego do Warszawy, do Polski niepodległej! Karjera polityczna nie przyniosła szczęścia Paderewskiemu; nie podniósł go wśród swoich kredyt, którym darzyła go Ameryka. Po pewnym czasie powrócił mistrz do sztuki koncertowej, do wielkiego arcyzmu i stylu „grandioso”, niedostępnego w rywalizacji z Paderewskim.

Dla wielkiej gry Paderewskiego niema schematu w rytmie. Jego metronomem jest serce, mechanizm

o skurczach czułych na wzruszenia, pod których wpływem przestaje ono bić regularnie, staje się arytmiczne, trudne do ujęcia w słowa, a określone muzycznie, jako: „tempo rubato”. Oto zjawisko, którem Paderewski tłumaczy swój stosunek do muzyki Chopina.

Jubileusz Ignacego Paderewskiego pominięto w Polsce milczeniem. Jedynem uczczeniem jubileuszu jest książka Henryka Opieńskiego: „Ignacy Jan Paderewski”, napisana barwnie, zajmująco, rzucająca jasne światło na życie i sztukę mistrza.

Monografia Felicjana Szopskiego o Władysławie Żeleńskim przypomina o działalności tego kompozytora, który zarówno twórczością swoją, jak i pracą pedagogiczną, niemało przyczynił się do podniesienia polskiej kultury muzycznej. Żeleński pochodził z dobrej rodziny szlacheckiej, która z ojca na syna osiadała na roli; rewolucja 1848 roku w Austrii i rzeź galicyjska w 1846 roku, której ofiarą padł ojciec Władysława, zawiadła matkę z synem do Krakowa, gdzie młody chłopiec zaczął okazywać wybitny talent muzyczny i kompozytorski. Kształcił się potem Władysław Żeleński w Pradze i w Paryżu, a po powrocie do kraju objął kierownictwo warszawskiego Towarzystwa Muzycznego i zamieszkał stale w Warszawie, jako profesor Konserwatorjum, ożywiając w dużej mierze ospałe stosunki muzyczne. Ale sercem związany z Krakowem, wrócił do miasta, w którym stawiał pierwsze kroki muzyczne, i tam, dzięki jego zabiegom i pracy, powstało w r. 1887 Konserwatorjum krakowskie. Odtąd już do końca życia nie opuszczał Władysław Żeleński ulubionej placówki pedagogicznej, która nie przeszkadzała mu w pracy kompozytorskiej.

Wykształcony starannie na kulturze klasycznej, do utworów swoich odnosił się krytycznie, mimo, że kompozycje jego z łatwością znajdowały nakładców zagranicą. W bogatym dorobku Żeleńskiego są liczne utwory fortepianowe, pieśni, chóry kościelne, kantaty okolicznościowe, kompozycje orkiestrowe, zespoły kameralne, wreszcie opery: „Konrad Wallenrod”, „Stara Baśń” i „Goplana”, o bardzo pięknych scenach lirycznych, ale niedość silnie przemawiających, jako dramaty. Żeleński wydał podręczniki teoretyczne, jako że do swej pracy pedagogicznej przykładał duże znaczenie. Owocny żywot polskiego kompozytora znalazł w ciekawej monografji Szopskiego wierne i zasłużone odbicie.

Monografia Wieniawskiego, p. t.: „Ludomir Różycki”, zapoznaje czytelników z sylwetką twórczą ogromnie zdolnego kompozytora polskiego. Uczeń Zygmunta Noskowskiego, już jako młodzieniec daje poznać swą silną indywidualność i niezaprzeczonego talent, który mu toruje drogę do Ryszarda Straussa w Berlinie.

Za powrotem do kraju zaczyna się pełny rozkwit dramatycznej twórczości operowej Różyckiego. Młody kompozytor sięga tylko po tematy wielkie, historyczne;

skala jego talentu wymaga ram olbrzymich dla rozgrywającej się akcji, dla stylu „grandioso“ jej bohaterów, którym wypadnie uderzyć w najsilniejszy ton dramatyczny.

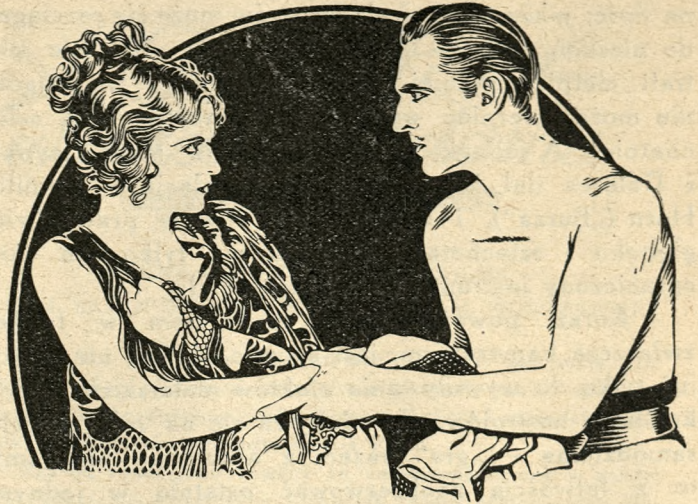
Treść oper Różyckiego jest organicznie związana z muzyką. Z dynamicznej siły instrumentów dętych i drzewnych wydobywa kompozytor barwę dźwiękową dla siły dramatycznego wyrazu i grozy akcji scenicznej. Jednakże twórczość Różyckiego obejmuje nie tylko świat ponurych tragedii. Obok renesansowej „Meduzy“ i zbrodniczej „Beatriks Cenci“, gra wszystkimi barwami bujny żywot rokokowego Casanovy; po groźnym „Bolesławie Śmiałym“ — kolej na wybryki „Pana Twardowskiego“ i na drogę przez wieki „Erosa i Psyche“; a jeśli chodzi o polskie tematy, różnorodność nastrojów Różyckiego jest zawsze rdzennie polska, wierna hejnałowi krakowskiemu, który jest motywem przewodnim w „Twardowskim“ i chorałowi w „Bolesławie Śmiałym“. Powodzeniem cieszą się nie tylko opery Różyckiego, wystawione zagranicą, mają bowiem duże uznanie jego poematy symfoniczne, pieśni, utwory kameralne i fortepianowe, wraz z pięknym i często grywanym koncertem.

Niewątpliwie książka Adama Wieniawskiego o Ludomirze Różyckim, w której skrzętnie zebrane są wszystkie szczegóły, dotyczące młodego jeszcze kompozytora, w pełni sił twórczych, będzie dla czytelników „Biblioteki muzycznej“ pożytecznym przewodnikiem po współczesnej twórczości polskiej. P. L.

Z ŻYCIA EKRANU

(Film kameralny — Psychologia wzrokowa. — „Prawdziwe kino“)

Wszystkie wybitniejsze obrazy bieżącego sezonu należą do typu kameralnych. „Monumentalność“ przeżyła się. Reżyserzy i szefowie reklamy przestali przeliczować się wzajemnie w ilości statystów, biorących udział w danym obrazie, i w wysokości sum, wydanych na jego realizację. Przestały nas olśniewać specjalnie budowane miasta asyryjskie i staroegipskie, wyścigi kwadryg, areny, wypełnione wielotysięcznym tłumem, rozstępujące się wody morza Czerwonego i wszelkie sceny masowe. Wszystkie te widowiska „monstre“ poprostu nas znużyły. Zateśkniliśmy do intymności. Żal nam się zrobiło człowieka, zagubionego w tłumie, przytłoczonego blokami „monumentalnej“ architektury, będącego za ledwie nikłym ornamentem całego widowiska. Dla filmu „monumentalnego“ tworzyło się fikcyjną rzeczywistość, ażeby móc dać jej dokładne odbicie na ekranie — w filmie kameralnym rzeczywistością jest to, co widzi reżyser i operator, ludzie, którzy z każdego



Scena z filmu „Burza“ (John Barrymore i Kamilla Horn)

przedmiotu, twarzy, postaci i gestu tworzą nowy świat, będący tuż obok nas, a jednak niewidzialny dla nas „gołym okiem“, bez pomocy obiektywu. Oni to wyznaczają ludziom i rzeczom właściwe miejsce w tym nowym, przez siebie wynalezionym, świecie; oni odnajdują w nich duszę i widzą jej utajone życie. Dlatego film kameralny może obejść się bez zawrotnej akcji, która musi przebyć jak najwięcej etapów, ażeby wreszcie, jak zasapana lokomotywa — stauać po dwóch godzinach u mety. W filmie kameralnym nie grają tylko wypadki, to też tam można sobie pozwolić na zupełnie inny rytm, na pauzy i fermaty — jakże wymowne! — na lubowanie się tem wszystkim, co leży poza t. zw. akcją.

Tego rodzaju filmem jest na przykład „Anioł ulicy“ (reżyser Borzage): każda scena jest tam jak gdyby skończoną frazą muzyczną, którą rozkoszujemy się bez względu na jej dalszy rozwój. Nazewnątrz dzieje się tam niewiele, ale wzrok nasz nie przestaje ani na chwilę śledzić jakichś subtelnych procesów uczuciowych, które pomimo pozornej lotności i nieuchwytności umiano przyłapać na „gorącym uczynku“. Taki sam — jak się ktoś wyraził — „kinematograf duszy“ widzieliśmy już w „Siódmym niebie“ tego samego reżysera (poza epizodem wojennym) i — we „Wschodzie słońca“ Murnau'a. Ale myliłby się ten, kto by utożsamiał obrazy te z filmami „psychologicznymi“, produkowanymi dawniej. Tamto była psychologia literacka: pozbawiona słów — traciła sens. Dziś zastąpiliśmy ją psychologią wzrokową, której środki wyrazu stają się coraz bogatsze. Świadczy o tem nie tylko sztuka reżysera i operatora, ale także i — aktora. Zdawało się, że wyrażenie uczuć przy pomocy gestu i t. zw. gry twarzy ma swoje ograniczone ramy, poza które nie może wyjść. Bo cóż to jest, właściwie? Układ, skurcz, napięcie tych lub innych mięśni, które nadają twarzy i postaci pewien wyraz. Jest przecież tego pewna ograniczo-

na ilość; jakże więc skala wyrazów może się rozciągać do nieskończoności? Zdawało się, że nikt nie potrafi cierpieć głębiej od Liljany Gish, — że wogóle nie można cierpieć wyraziściej, a przytem tak szlachetnie. A jednak po niej przyszła Janet Gaynor, i Dolores del Rio, i ostatnia rewelacja — Kamilla Horn („Burza“), i każda cierpi równie prawdziwie, głęboko i szlachetnie, i każda ma tylko ten sam ograniczony instrument — własne ciało.

Coraz poważniejszym czynnikiem w filmie, zwłaszcza kameralnym, jest światło, które nie służy już tylko do wywoływania efektów malarskich i podkreślania nastrojów, ale zdobywa się na rolę prawie samodzielna — „gra“ razem z aktorami. Mogliśmy to z łatwością zaobserwować ostatnio w jednym z najlepszych filmów sezonu w „Burzy“ (reż. Taylor i Turzańskij). Kiedy się patrzy na to, jak reżyserzy najnowszej szkoły operują światłem, zdaje się, że człowiekowi przybywa jeszcze jeden zmysł, tak dalece powiększa się skala odczuwalności. Światło i cień to nie jest tylko jasność i ciemność, lecz cała gama tonów; z ich natężenia, załamania, zamgleń i wzajemnych ustosunkowań tworzy się już nietylko symfonie wzrokowe, ale, że je tak nazwę — wizje psychologiczne, ilustrujące uczucia bohaterów znacznie subtelniej i wnikliwiej, niż słowa (przypomnijmy sobie w „Burzy“ wejście bohatera na bal, albo dwie odpowiadające sobie sceny w więzieniu).

Mam wrażenie, że popularne dziś twierdzenie, jakoby sztuka filmowa w swych dotychczasowych formach całkowicie się wyjałowiła i wymaga jakiegoś rewolucyjnego przewrotu, jest jednak przesadą lub.. snobizmem. Prawdą jest, że rozwój sztuki filmowej nie postępuje teraz takimi siedmiomiloweimi skokami, jak to było w pierwszych latach jej istnienia, ale trudno zaprzeczyć ciągłej ewolucji w kierunku jej usamodzielnienia, wydobywania się z pod wpływu innych sztuk i znalezienia własnego języka. Nie tak dawno jeszcze jedynie obrazy, wypełnione po brzegi fabularną treścią, nazywaliśmy „prawdziwym kinem“. Dzisiaj „prawdziwe kino“ znajdujemy w kilkunastometrowym zdjęciu, przedstawiającem błąkanie się człowieka po ulicach miasta („Anioł ulicy“), w pozabawionym napozór treści tańcu dziewczyny (prześliczna „Ramona“) — lub — w spojrzeniu na świat poprzez szkło kieliszka do wina („Burza“). *tef. H.*



SPORT I WYCHOWANIE FIZYCZNE

W bieżącym sezonie zimowym projektowany jest szereg kursów narciarskich dla kobiet. Uczelnie wychowania fizycznego, jak: Państwowy Instytut w Warszawie, Studja Poznańskie i Jagiellońskie — organizują kursy dla swych słuchaczek; Ministerstwo Wyznań Religijnych i Ośw. Publ., — kursy dla nauczycielek w f. szkół średnich. Harcerstwo, Związek Strzelecki, Rodzina Wojskowa, Organizacje Przysposobienia Kobiet mają zamiar też wyszkolić swe członkinie w sporcie narciarskim, by propagować później „biały sport“ na całym terenie Rzeczypospolitej. Kursy te odbędą się nietylko w Zakopanem: projektowany jest kurs w Wilnie, Worochcie, Węgierskiej Górze. Kluby Sportowe A. Z. S. W-we i Klub Narciarzy w Rybniku urządzą kurs w Beskidach i na Baraniej Górze wspólnie dla mężczyzn i kobiet, który ma charakter wycieczkowy, a nietylko szkolny, jak kursy wyżej wspomniane.

Pierwszy śnieg w Tatrach zwabił odrazu narciarki-zawodniczki, które wezmą udział w Międzynarodowych zawodach narciarskich w lutym. Lotyczkova, Zientkiewiczowa, Staszek Polankowa wzięły się ostro do treningu, by nie dać się zwyciężyć obcym konkurentkom. Mimo pesymistycznych przepowiedni, śnieg pokrył już góry i warstwa jego stale się powiększa, co pozwala przypuszczać, że zima bezśnieżna jednak nie będzie i zawody udadzą się pod każdym względem. To też cała Polska sportowa żyje już dziś pod znakiem Międzynarodowych Zawodów; przygotowania czynią się na szeroką skalę, gdyż spodziewany jest duży zjazd gości zagranicznych.

Na boiskach głucho; młodzież szkolna z niecierpliwością rwie się do łyżew i ślizgawki, gdyż mróz w tym roku długo kazał na siebie czekać. W salach gimnastycznych i halach sportowych praca wre; prócz gimnastyki, odbywają się towarzyskie spotkania w grach: hazenie, koszykówce, siatkówce. Szermierka zdobywa dużo zwolenniczek; jednak sport ten wymaga wiele pracy i wytrzymałości, więc nie wszystkie panie są dostatecznie cierpliwe, by wytrwać przy tej zmuśnej nauce. Za to strzelectwo wśród pań zatacza coraz szersze kręgi; i ilościowo, i jakościowo idzie szybkim tempem naprzód: w marcu projektowane są II ogólnopolskie zawody kobiece z broni małokalibrowej. W lekkiej atletyce zapanowała chwilowa konsternacja; wywołała ją wiadomość, że p. Konopacka wyjeżdża z Polski na stałe, a przynajmniej na długi okres. Powodem wyjazdu Olimpijki — sprawy osobiste, a mianowicie ślub z posłem naszym w Budapeszcie, ministrem Matuszewskim. P. Konopacka wyjechała 16-go grudnia żegnana przez tłumy odprowadzających, którzy przyszli złożyć życzenia pomyślności na nowej drodze życia.

Pożegnanie: „dowidzenia, do Mistrzostw Polski“ upewniły świat sportowy, że p. Konopacka nie przestanie trenować i dalej zbierać laury i sławę, a na Mistrzostwa Polski dla pań zawita do kraju, by jeszcze poprawić swój rekord światowy.

Z TEATRÓW

TEATR NARODOWY

„Brat marnotrawny“—komedia w trzech aktach *Oskara Wilde'a*. Tłumaczył *B. Gorczyński*. Reżyserja *J. Jusza Osterwy*. Dekoracje *Wincentego Dabika*.

Teatr Narodowy wznowił „Brata marnotrawnego“ *Wilde'a* prawdopodobnie dla *Osterwy*. Okazuje się jednak, że ta dobra komedia nie wyszła jeszcze z kursu i jej długotrwałe powodzenie w Letnim (jako „Birbant“), a przed kilku laty w Małym — trwa po dziś dzień.

Wiele powiedzeń *Wilde'a* ma bowiem wiecznotrwałą rację, a dowcip jego nie spopularyzował się jeszcze do tego stopnia, aby nie wywoływał bodaj uśmiechu. Nieprawdopodobna anegdota i ten „bamberyzm“, jako intryga, dość nikła zresztą i dość niewinna, bawią nas niemal tak, jak birbantyzm *Gustawa* w „Ślubach panińskich“. Z każdej zawikłanej sytuacji znajdzie się przecież wyjście — oczekiwane, a główny szkopuł, o który ma się rozbić miłość *Johna* i *Gwendoleny*, zdmuchnięty będzie przez przypadek — którym jest właśnie pointa sztuki.

„Brat marnotrawny“ nie jest, mimo pozorów, satyrą na złotą młodzież angielską z illo tempore. Odrobina życzliwej złośliwości pod adresem tych sfer nie wywołuje więc refleksyjno-społecznych rozważań, gdyż cała uwaga widza skupia się na bezcroskim humorze *Algernona*, sympatycznego nicponia, którego jedynym dochodem są — długi. Ponuro-sentymentalny *John* również nie jest „czarnym charakterem“, choć kłamie z mniejszym wdziękiem.

Świetna jest ciotka *Augusta*, reprezentująca swoistą moralność swojej sfery. Mądrość tej lady *Bracknell* posiada niewzruszoną przewrotność, i właśnie ciotka *Augusta* jest spaekerem paradoksów. Wypowiada je ze swadą, bez zajknięcia, jako oczywiste prawdy życiowe.

Algernon grał *Osterwa*, tak, jak to on potrafi: miło, wdzięcznie i „podbojowo“. Ciotką *Augustą* była najbardziej pomysłowa artystka — *Irena Solska*. Stworzyła typ nieprzesadnie humorystyczny i wygłaszała swoje zasady z przekonaniem. *John Węgrzyna* był mało angielski pod względem exterieur'owym. To samo można powiedzieć o *Gwendolence* p. *Halskiej*. *Ola Leszczyńska*, jako *Cesia Cardew*, grała z pewną nonszalancją. *P. Jarszewska*, jak na guwernantkę angielską, a w dodatku sentymentalną romancierę, posiada zbyt wiele żywej wagi. *Justian* i *Kojałłowicz* wywiązali się dobrze z nietrudnego zadania. H. N.

Kobieta w świecie i w domu

PIĘKNA UROCZYŚTOŚĆ SZKOLNA
„ŚWIĘTO SAMOPOMOCY“ W GIMN. IM. M. KONOPNICKIEJ

Istnieje w gimnazjum „Samopomoc“ szkolna—institucja, która niesie pomoc uboższym uczennicom w regulowaniu czesnego, w płaceniu za korepetycje, pośredniczy w kupnie i sprzedaży podręczników szkolnych, prowadzi kramik i t. d.

Raz do roku, jako rewanż za całoroczną pomoc w każdej szkolnej potrzebie, dziewczynki urządzają Święto Samopomocy, które wypada dnia 29 listopada, i składają wtedy dary, nie omijając przytem sposobności do zabawy i przedstawienia szkolnego. Podziwiałam już kilkakrotnie takie przedstawienia, pomyslane i wykonane przez dziewczynki w trudnych, prawie improwizowanych warunkach scenicznych. W tym roku wypadło ono imponująco z powodu mnóstwa ciekawych pomysłów w samej treści, dekoracjach i kostjumach, oraz bardzo uroczyste, z powodu gości, którzy na ten dzień do gimnazjum przybyli. Była pani Marszałkowa Piłsudska z córkami i kilkanaście osób z Ministerstw, Kuratorjum, nauczycielstwa innych szkół i z Koła Opieki Rodzicielskiej.

Tematem przedstawienia była charakteryzacja województw Rzeczypospolitej Polskiej, z myślą przewodnią, by wszystkie województwa pokazały i ofiarowały Samopomocy swe własne wykopalska, wyroby i skarby. 1) Kl. VIII c w obrazie z doby obecnej z odnowionego Rynku Starego Miasta, wśród charakterystycznych typów, wprowadza na scenę Syrenę warszawską, zdegradowaną, z uciętym ogonem, w którym niesie wyroby rodzimego miasta: wagon kolejowy, tramwaj, wyroby nożownicze, meble, konfekcję, czekoladę i cukry. 2) Kl. VI b ładnie zatańczyła w szklance słodkiej herbaty z *Lubelskiego* i wygłosiła orację o samolocie polskim. 3) Kl. VII b przedstawia *Łódź* z kominem na głowie i łodzią herbową miasta, sukno, płótno, szpulkę nici, maszynę i lokomotywę. 4) Kl. VII c grała na harmonji ręcznej i tańczyła na dożynkach w *Poznańskim*; przeszkodziła w tej zabawie *poznańska* głowa cukru, prowadząc swe dzieci: kryształ i cukierek—na święto Samopomocy. 5) Z wojew. *warszawskiego* odtworzyła kl. III a jarmark i chatę łowicką. Przy kołowrotku *babunia* wspomina krzywdy rosyjskie, zaś gospodarz opowiada o czasach wielkiej wojny i wyraża radość z odzyskania wolności. Dziewczęta tańczą *kujawiaka*. 6) W *Krakowie* na rynku przekomarzają się *krakowiaci* i *górale*, wychwalając swoje zwyczaje, charakter i tańce. W rezultacie demonstrują „*Krakowiaka*“ i „*Góralskiego*“, w którym przodownik swą gibkością i zgrabnością skoków i przysiadów pokonał wszelkie wątpliwości. Hejnał z *Marjackiej* wieży przerywa te tany. Zjawiają się postacie historyczne: *Kinga*, *Jadwiga*, *Kościuszko* i *Legjoniści*. 7) Kl. V: W *Kieleckim* na *Łysej Górze* djabły i czarty ujadają, dowiedziawszy się, że ludzie z toporami i dynamitem przyjdą po skarby, ukryte w głębi ziemi. Bronią więc rudę żelazną, galenę cynkową, miedź i marmur, robiąc przytem wiele hałasu. 8) Najmłodsze latorośle gimnazjalne,—kl. I a—wystąpiły, jako *garnki* ze *Stanisława* *wowskiego*. *Garnkarz* usnął, północ wybiła, zjawiają się wróżki z przepowiednią przyszłych losów *garnków*. W drugim obrazie, w tkalni zapasek i kilimów, dziewczęta kończą dzień pracy *kołomyjką*. 9) Z *Tarnopola* i *Wołynia* wpadają na scenę *jarzyny*, kwiaty, owoce, zające, ptaki, owady i *krasnodudki*, niosąc dary, w pięknych i pomysłowych kostjumach z *bibułki* i *papieru*. 10) *Polesie* potraktowały ucz. kl. IV-ej naukowo-geograficznie, łącząc epokę lodowcową z powstaniem rzek, pozostaniem *moczarów* i *bagien*, osuszaniem gruntów przez pracowitość ludzką, która działała, że w miejscu *moczarów* są dziś uprawne pola, a na-



„Święto Samopomocy“
w gimn. im. M. Konopnickiej

grodą—snopek zboża. Przybywa ludność Polesia: bednarze, koszykarze, rybacy, strzelcy i kowale; wkońcu marynarka rzeczna tańczy „marynarskiego“. 11) Ucz. kl. VI a wysłały wycieczkę w lwowskie województwo. W Borysławiu widziały naftę; w chacie wiejskiej oglądały kobiety, zajęte pracą gospodarską; w zdrojowisku, w dowcipny sposób dowiedziały się, ile sugestja działa w leczeniu „naftusią“, a we Lwowie miały okazję uchronić rzewną łezką nad bohaterskimi „Orlętami“, które w obronie rodzinnego miasta umierając, wołały „mamo!“ 12) Wileńszczyznę ujrzeliśmy znów w scenach z jarmarku. Cygan z niedźwiedziem, lud. studenci, procesja, teatr na placu i śpiewka ludowa. 13) Polskie swe serca i radość z przyłączenia do Macierzy wykazały ucz. kl. VIII b w trzech obrazach z historii i doby obecnej na Śląsku. Przedstawiły plastycznie i porównawczo węgiel, rudę żelazną, cynk i stal, w kostjumach oryginalnych i pomysłowych, zrobionych z kartonu i malowanych. 14) Ostatni obraz—to eksport i import przez Gdynię, statystycznie przedstawiony przez kl. VIII a. Wreszcie taniec dzielnych marynarzy, wesoły, dziarski i pełen energii — na zakończenie.

Nadmienić należy że ogrom trudności, które pokonać umiano, nie pozwolił wprawdzie na zbyt staranne wykończenie każdej poszczególnej sceny; gdy się jednak pomyśli, że w przeciągu 4 godzin przewinęło się prawdopodobnie około 400 dziewczynek w kostjumach, pomysłanych i wykonanych własnymi rękami, to się wybaczysz pewne usterki, boć to nie artyści, nie fachowcy — tylko młodzież szkolna.

NIEUZNANA PRAWDA

Jednym z faktów, najbardziej ośmieszających system współczesnej demokracji, jest odmawianie praw politycznych kobietom francuskim.

Wbrew oczywistości i rzeczywistości roli, jaką odgrywa kobieta w życiu społecznym i gospodarczym, oraz za kulisami polityki, — oficjalna Francja odmawia swej obywatelce prawa głosu.

Mimo to, jednak, francuzki dochodzą do głosu na arenie publicznej: prawie w tej samej chwili, gdy Senat francuski wyłączył z pod dyskusji wniosek o przyznanie kobietom prawa głosowania — dwie młode profesorki rozpoczęły wykłady na uniwersytecie w Rennes.

P. Karolina Bequignon, doktor praw, wykłada na tym uniwersytecie procedurę prawa cywilnego, a p. Marja-Ludwika Sjoestedt mianowana została profesorem literatur i języków starożytnych.

Żadnej z nich jednak nie przysługuje prawo złożenia głosu do urny wyborczej...

j. k.

TRAGEDJA ZAPOMNIANYCH SANITARJUSZEK

Za pośrednictwem władz Czerwonego Krzyża, Zrzeszenie Sióstr Czerwonego Krzyża wszczęło starania o przyznanie praw do emerytury, z zaliczeniem lat poprzedniej pracy do lat 10-ciu, oraz o skrócenie terminu wysługi do 25-ciu lat.

Owe bowiem „poprzednie lata“, sięgające zresztą dla wielu nie 10-ciu, a 15-tu lat — to lata najcięższej, nadludzkiej pracy wojennej sanitariuszek, lata szpitali polowych, czołówek sanitarnych, lata pracy bez snu, lata tyfusu i głodu...

Lata te muszą być policzone!

Drugi postulat Sióstr Czerwonego Krzyża—to prośba o prawo do emerytury nie po 35, lecz po 25 latach. Praca bowiem pielęgniarska, trwająca nawet w czasie pokojowym w szpitalach wojсковych po 12 godzin dziennie, z dyżurami co drugą noc, sięgająca do 36-ciu godzin na posterunku bez przerwy — niszczy najsilniejszy organizm w tempie przyspieszonym. Siostry, licząc płacę (przeciętnie 200 zł. mies.), nie mają ani wygodnych warunków bytu, ani możliwości leczenia się (o, ironjo!) w razie niezdolności do pracy. Inwalidki pobierają „zaopatrzenie“ wręcz głodowe.

Po wojnie zapomniano szybko o losie bohaterskich kobiet, których poświęcenie stało na straży naszej, tworzącej się krwią i walką, Wolności.

Czas o nich przypomnieć czynnikom miarodajnym! Lata wojny powinny być im policzone bezwzględnie. Niech sprawę tę poprą organizacje kobiece, niech o nią zabiegają posłanki u swych klubów sejmowych!

Budżetu państwowego wykup lat dla Sióstr Czerwonego Krzyża nie obciążaj nad miarę: chodzi o 400-500 osób wielkiej zasługi, chodzi o sumę może nie większą, niż miljon złotych!



Dr. med. J. ŚWITALSKA

POWRÓCIŁA I ORDYNUJE CODZIENNIE OD 10-ej DO 11-ej, ORAZ W PONIEDZIAŁKI, ŚRODY I PIĄTKI OD 8-ej DO 7-ej.

(Choroby skórne i Kosmetyka lecznicza).

MATKA PRACUJE

W Nr 1 r. b. naszego pisma Pani E. M. z Wilna poruszyła w „Naszej Mównicy“ zagadnienie pierwszorzędnej wagi. Poruszyła je w sposób tak przekonywujący i obrazowy, iż trudno wprost uwierzyć, żeby ten świetny list-artykuł wyszedł z pod pióra nie literatki! A może właśnie pani E. M. musiała złożyć na ołtarzu rodziny swe aspiracje i niewątpliwie zdolności literackie i dlatego słowa jej, pełne uzasadnionej goryczy, tchną tem większą prawdą życiową?... Piszę p. E. M. o tem, że „kobieta ponosi często niepomierny ciężar obowiązków, składających się z drobiazgów, które otoczenie uważa za rzeczy bez wagi, których nie dostrzega nareszcie. Drobiazgi lekkie, jak przesypujący się między palcami piasek, i, jak piasku ziarenka — nieprzeliczone. Drobiazgi, rozpychające szare wory dnia powszedniego, które najczęściej dźwiga na plecach kobieta, uginając się pod bolesnym, od rana do wieczora, ciężarem. Mycie... czyszczenie... cerowanie... sprzątanie. Zatargi ze służbą, niedomagania dzieci, kłopoty z praczką, domowe rachunki (żeby starczyło do pierwszego). Śniadania, obiady, kolacje — i to wszystko oprócz pracy zarobkowej poza domem. Gdzież tu jest miejsce na twórczość kobiecą? na wewnętrzne rozwijanie się? Poco tak dreptać ciągle i służyć, przekładać i układać, liczyć i dysponować, kupować i oszczędzać, kiedy w szpary między tem wszystkim wsiąka coś, co jest najistotniejsze, i ginie bez śladu, i już nigdy, nigdy nie wróci?... A może, gdy się jest pożyteczną, gdy się jest bliskim niezbędną, nie należy już niczego, niczego żałować?“... — zapytuje wkońcu p. E. M., a w zdaniu tem brzmi beznadziejne znużenie.

Pozwolę sobie do tak doskonale skreślonego obrazu, w którym, sądzę, niejedna z czytelniczek odnajdzie swe psychiczne oblicze, dodać kilka rysów uzupełniających. Oto do takiego średniozamożnego domu, gdzie jest sterana nadmiarem różnorodnej pracy żona, pyskata kuchta i niesforne dzieci (jak to zwykle, dzieci) — wraca ojciec. I odrazu robi się cicho. Milknie burzliwe colloquium między panią a służącą, na temat przepłaconej marchewki, dzieci przerywają hałaśliwą zabawę. Starsza córka pośpiesznie nakrywa do stołu, żeby prędzej można było podawać obiad, bo ojciec wrócił z biura zmęczony i głodny. A po obiedzie znowu wszyscy będą chodzili na palcach, bo ojciec musi się zdrzemnąć. A wieczorem, jeżeli ojciec wybiera się do klubu, cały dom będzie celebrował nad sprawą odprasowania spodni i dostarczenia czystego kołnierzyka — bo przecie ojciec musi się koniecznie czasem rozerwać, bo **ojciec pracuje.**

A matka? Matka... oczywiście, też. Ale to się jakoś mniej bierze pod uwagę, bo **ojciec zarabia.** Ale matka też przecie zarabia, czasem więcej od ojca, więc skąd ten nadmierny, pełen pietyzmu, szacunek

dla pracy męskiej, skąd to bagatelizowanie kobiecego trudu? Poprostu, sugestia przeszłości. Wyrosłyśmy w atmosferze szacunku dla pracy męskiej, będącej podwaliną dobrobytu rodziny; widziałyśmy, jak otaczano pieczołowitą opieką studia naszych braci, mające z czasem stać się źródłem zarobku. Wszystkie nasze poczynanie w najlepszym razie bagatelizowano dobrodusznie: — chce się jej bawić w naukę, to niech się bawil i tak to jej wywietrzeje z głowy, jak pójdzie zamąż i będzie miała dzieci. — Tak się mówiło, ilekroć chcieliśmy cokolwiek robić; a nawet, jeżeli się nie mówiło, to takim stosunkiem do każdej naszej pracy była dokoła nas przepojona atmosfera. Aż w końcu nauczyłyśmy się wątpić we własne siły, bagatelizować same siebie. Uwierzyłyśmy, że cerowanie męzowskich skarpetek i pilnowanie przypalającej się leguminy — to rzeczy stokroć ważniejsze, niż praca nad naszym umysłowym rozwojem. Że wszelkie osobiste dążenia i ambicje — to karygodne usiłowania rozbicia świętej instytucji rodziny. Aż przyszedł taki czas, kiedy dla obronienia tej rodziny przed niedostatkiem musiałyśmy zużytkować kradzione zamłodu umiejętności, musiałyśmy nagwałt wytwarzać nowe. Bo mąż został zredukowany, albo zarabiał za mało, bo dzieci chciały jeść.

Zabierałyśmy się do pracy bez wiary we własne siły, z podcinającym nogi uczuciem, żeśmy wyrodne matki, bo pozwałamy, by naszymi dziećmi zajmowały się najemne ręce. Ta nasza nieśmiałość i niepewność, te nasze wahania i rozterki duchowe — to woda na młyn przeciwników równouprawnienia, atut w rękach męskiej konkurencji, assumpt do twierdzenia, że kobieta nie może być dobrą pracownicą, bo jest nieobliczalna i nerwowa. Tak! Jesteśmy nieobliczalne i nerwowe, nieraz brak nam w pracy wytrwałości i systemu; ale bo też my jesteśmy pokoleniem przełomowym, nieprzystosowanym do tak bardzo zmienionych warunków życia; dźwigamy na sobie cały ciężar sugestji przeszłości.

Trzeba, aby nasze córki były inne — żeby mogły być spokojne i szczęśliwe. Żeby znały radość dobrze wykonanej pracy, bez goryczy zwątpienia w to, czy mają do tej pracy prawo, bez wyrzutów sumienia. I to prawo radosnej pracy dla naszych córek wywalczyć powinnyśmy my. Naszą jest rzeczą przekonać otoczenie o ważności naszej pracy, przekonać o tem samych siebie. Zastanówmy się tylko nad tem, ileby stracił świat, żeby np. taka Curie-Skłodowska zadowolila się w życiu rolą matki i gospodyni?! A przecie ta wielka uczona potrafiła być nie tylko najdoskonalszym towarzyszem męża we wszystkich jego poczynaniach i twórczą kontynuatorką jego dzieła, ale także i wzorową matką. Nie zaniedbała żadnego ze swych istotnych obowiązków, ale umiała się uwolnić od balastu drobiazgów, tych właśnie drobiazgów, których niewolnicami staje się większość z nas. Uczmy się segregować nasze codzienne sprawy tak, jak dobra go-

spodni segreguje upraną bieliznę: zawsze okazuje się, że niejedno nadaje się do wyrzucenia.

Nie powinnyśmy nikomu ustępować prawa do duchowego kierunku naszych dzieci, ale możemy z czystym sumieniem powierzyć płatnej osobie cały szereg zabiegów, właśnie owo „mycie... czyszczenie... cerowanie... sprzątanie...” Mamy do tego zupełne prawo, zwłaszcza, o ile osiągnane przez nas zarobki znacznie przewyższają pensję, jaką płacimy ochmistryni czy bonie.

Nie obawiamy się utraty rodzicielskiego autorytetu. Dzieci przeważnie dlatego bardziej słuchają ojca, że go widują rzadziej, niż zawsze obecną, zafrasowaną, gderliwą, wydającą sprzeczne dyspozycje, matkę. Umiejmy czasem odpowiedzieć mężowi łagodnie i pogodnie, ale stanowczo:—nie mogę się zająć reperacją twojej bielizny, bo mam ważne zajęcia. Zwróć się z tem do Marjanny.—Ostatecznie, ani świat się nie zapadnie, ani szanowna instytucja rodziny nie rozleci się odrazu w gruzy, jeżeli pan doktor sam sobie przyszyje guzik, ma przecie nie mniej wolnego czasu, niż pani doktor. Był czas, że ludzie nie mogli sobie wyobrazić układu życia bez niewolnictwa. A w najbliższej przeszłości, bo zaledwie przed piętnastu laty, wrócono rodzinie zagładę—z powodu otwarcia klubu wioślarek. No, i ludzie jakoś się obchodzą bez niewolników, na Wiśle mąż-wioślarz ściga się na scoo-lingu z żoną-wioślarką, a w basenie z podłogą „żabkują” zdrowe, opalone dzieci, bardzo dumne ze swych wysportowanych matek.

Wymagajmy szacunku dla naszej pracy! nie pozwólmy na marnowanie zdolności naszych córek pod pozorem że „kobiecie nie będą potrzebne”. Wykreślmy z naszego domowego słownika pogardliwe określenia jak: „kobieca logika”, „kobieca gospodarka”, „kobiece pióro” i t. d..

Niech cały dom chodzi na palcach, kiedy **matka pracuje!**

Jadwiga Kiewnańska.



NA PERYFERJACH

Każdy z nas wie, co to są peryferje wielkiego miasta. Nie, nawet niekoniecznie przedmieście, ale właśnie „krańce”, albo poprostu dzielnice, pogardzane przez bogate centrum: dzielnice żydowskie, robotnicze, albo poprostu—nędzne. Nawet odległość nie gra tu wielkiej roli, bo początek Czerniakowskiej wcale nie jest zbyt daleko od Placu Trzech Krzyży, a Żelazna łączy się przecie ze Złotą, która jest stanowczo ulicą „z lepszych sfer”. Rolę grają poprostu ugrupowania ludności, „sui generis” pojęcia nasze, które każą nam zapisywać tę, czy inną dzielnicę na czarną listę naszej arystokratycznej niełaski. Z powodu tej niełaski, te Wole, Ochoty, Żelazne, Chłodne, Ciepłe, nie interesują nas poza zagadnieniem przejścia się po nich wieczorem (niebezpiecznie), lub w dzień (brudno!). Wszelkie kulturalne, czy rozrywkowe ośrodki, lepsze szkoły, kina i t. d. unikają tych dzielnic, jak zapowietrzonych, i z tego względu wszystko tam jest w najgorszym gatunku. Nic wzorowego, europejskiego, nowego. Bo—„dla kogo“?

A jednak właśnie na peryferjach, bo na Chłodnej Nr. 15, mieści się wzorowa pensja prywatna żeńska pp. Gaczeńskiej i Kacperskiej. Szkoła typu A, z doskonałymi pomocami naukowymi, obszernym lokalem i tak nowym kierunkiem pracy, że zahacza on prawie o eksperymentalizm.

Syntezę kierunku oraz rezultatów pracy dała nam wystawa prac uczennic, zorganizowana w dniach 8 i 9 grudnia.

Wystawę podzielono na działy: był więc, dział pomocy szkolnych, gdzie mogliśmy obejrzeć staranne wykresy matematyczne, oraz obrazki pomocnicze dla nauki języka francuskiego; wszystko robota uczennic. Dział przyrodniczy, a więc przesłiczne modele nasion i owoców, wykonane z plasteliny, oraz wiele okazów zwierzęcych: czaszek, kości, spreparowanych również przez uczennice. Dział geograficzny zwracał uwagę doskonale rysowanymi mapami i modelami, oraz oryginalnym pomysłem jednej z dziewczynek: —kajetami, w których się zapisuje lub nakleja wycięte z gazet wszelkie wiadomości, dotyczące geografji, aż do zaburzeń atmosferycznych włącznie.

Zapał uczennic w tym kierunku dochodzi aż do gorących modlitw o tajfuny i inne okropności, byle tylko miały co zapisywać w swoich ukochanych kajecikach.

Jednym z najciekawszych był dział rysunkowy, prowadzony do 6 klasy włącznie. Uwzględniono tu wszelkie metody, od ołówka i węgla, aż do roboty białym gwaszem na czarnem tle lub malowania bez konturów ołówkowych.

Główny nacisk położono na kompozycję indywidualną, na wyrobienie smaku i fantazji. Ciekawe są rysunki najmłodszych „artystek”, które przejawiają

często niesłuchanie bujną fantazję i znakomite poczucie barw.

Wogóle rysunki dzieci, małych dzieci, są, podług mnie niedoceniane i stanowczo poświęca się im za mało uwagi.

Jeden z moich młodych przyjaciół, gentleman w wieku lat sześciu, wystąpił kiedyś z uzasadnioną zresztą pretensją, że nigdzie niema „muzeum“ dla obrazków, rysowanych przez dzieci. Racja — „muzeum“ takiego niema, ani nawet wystawy, wobec czego sześciolatek nie ma odpowiedniej platformy dla swoich artystycznych wzruszeń. Jego znajomość malarstwa, oparta na długoletnich studiach przy pomocy najgrubszych ilustrowanych książek tatusia, nie może sobie znaleźć ujścia. Praga Czeska zorganizowała niedawno wystawę prac dziecinnych; czemu my nie moglibyśmy stworzyć czegoś podobnego, na trochę mniejszą, nie międzynarodową skalę!?

Jestem pewna, że niższe klasy szkoły p. p. Gaczeńskiej i Kacperskiej dostałyby jedno z pierwszych miejsc.

Tempo pracy w tej szkole tem bardziej zadziwia swą wartkością, że są to przecież właśnie „perryferje“, że większa część uczennic—to córki robotników i drobnych kupców.

Jak się okazuje, jest to jednak element łatwiejszy i podatniejszy, niż tak zwana inteligencja; ma w sobie, bowiem, prostotę i bezpośredniość w przyjmowaniu rzeczy dobrych. Oprócz nabywania wiedzy drogą indywidualnego rozwoju (broń Boże—„kucia“!) wyrabiają również charaktery, do czego bardzo im pomaga niedawno wprowadzony system samorządu klas.

Odpowiedzialność! — to wielkie słowo powstrzymuje je od wielu wykroczeń, każe się zastanawiać nad istotą zła i dobra. Z dziewcząt tych maturzystki prawie wszystkie wstępują do wyższych zakładów naukowych, duża jednak liczba poprzestaje na 4 lub 6 klasach i idzie do zawodu. Bez względu na dalszy kierunek pracy dziewcząt, szkoła robi swoje: wprowadza element kultury nie tylko do indywidualności swoich wychowanek, ale i do ognisk rodzinnych przez stały kontakt z rodzicami. Szkoła uczy nie tylko młodzież, ale i starszych.

Zofia Miszewska.

UNIwersYTECKA SZKOŁA

PIELĘGNIAREK I HIGJENISTEK W KRAKOWIE

Otwarcie nowego kursu dnia 1 lutego 1929 r. Nauka trwa 2 lata; przyjmuje się tylko internistki. Wykształcenie: 6 klas gimnazjalnych lub równorzędne. Zgłoszenia: Dykcja Uniwersyteckiej Szkoły Pielęgniarek i Higjenistek w Krakowie, Kopernika 23.

TECHNIKA

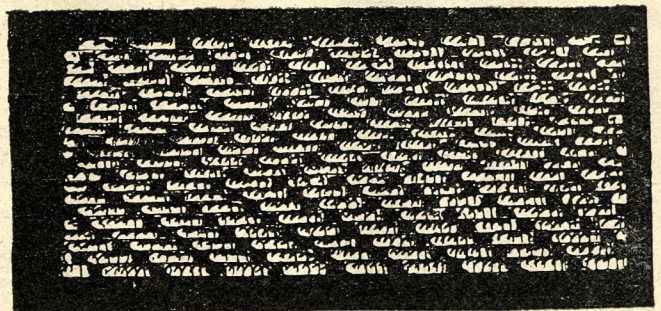
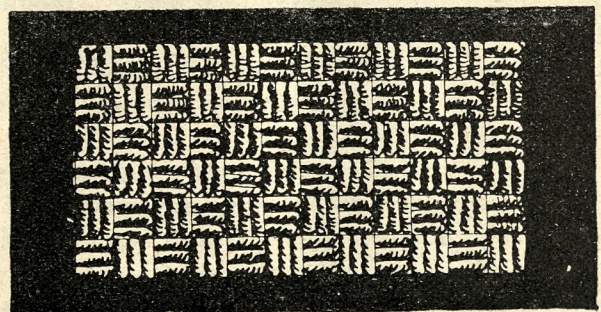
2. Haft

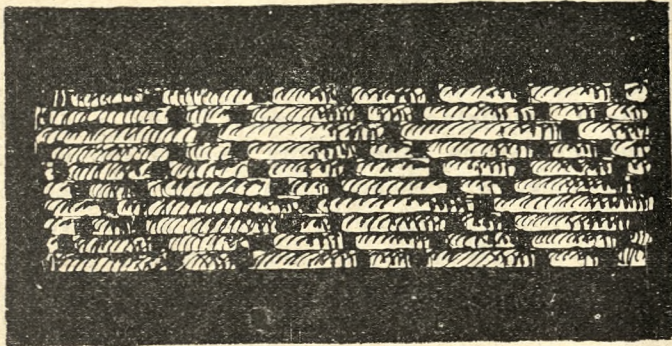
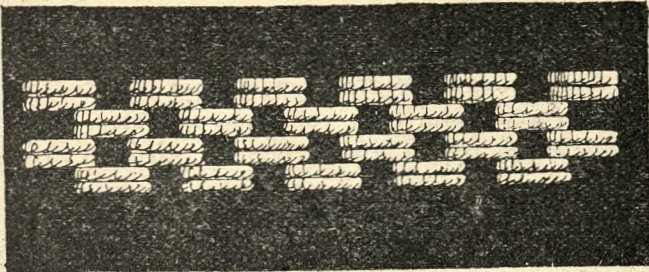
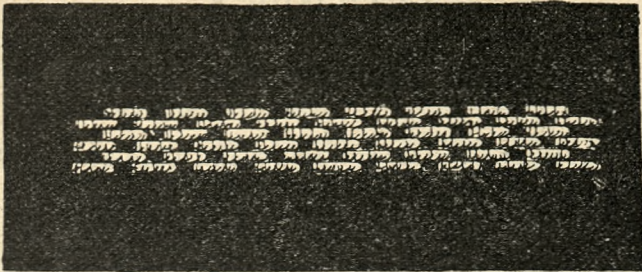
Przetykanie i zasnuwanie niemi tkaniny—według skomponowanych wzorów, stanowi podstawę techniczną haftu. Ta prosta technika była w czasach bardzo dawnych jednym ze środków wypowiedzania się pomysłowości twórczej.

Tem da się tłumaczyć zbliżenie i równoległa płaszczyzna charakteru kompozycji, jaka istniała zawsze pomiędzy zabytkami haftów, a dziełami malarstwa ówczesnego. Wpływ malarstwa uwidocznił się zresztą w całej linii rozwojowej haftu, nie tylko pod względem, ujęcia tematu, lecz i w postępie rozwoju technicznego. I tak czasy bizantyjskie, średniowieczne, dają bogaty materiał haftów typowych, pokrewnych malarstwu tego okresu — odpowiada tu całkowicie używanie ściegu płaskiego. Nazwy ściegów, jak: rozłupany, koloński, chorągiewny, warkoczowy, koszykowy i t. p., jasno charakteryzują odmiany zasnuwania. Kompozycja, jako układ kształtów i kolorów, ściśle związana była z techniką wykonywania haftu. Użycie i umiejętne zastosowanie ściegu podnosiło wartość estetyczną danej roboty, wprowadzało wielkie urozmaicenie, wzbogacając tem samem płaszczyznę tkaniny piękną, harmonijną całością kompozycyjną.

Często były w użyciu nici metalowe, przez co otrzymywano, typowe, np., dla okresu bizantyjskiego, odcienie złota, — tkaniny do użytku kościelnego posiadały, prócz haftu, wypełnienie w postaci drogich kamieni.

Odrodzenie, okres rozkwitu malarstwa—nowe tory myślowe i techniczne znalazły swój oddźwięk





w haftach wieku szesnastego. Zaczęto haftować na wypukło, co obniżyło poziom artystyczny haftu. Z wieku siedemnastego i osiemnastego pozostały zabytki haftów stylowych, w postaci tkanin na meble i tkanin kościelnych.

Dzisiejsza technika haftu kolorowego, posiada za mało urozmaiceń, łączących się typowo w pewien styl techniczny.

Należałoby może opracować i przestudjować dawniejsze odmiany techniczne, aby wytworzyć odrębne rodzaje, odpowiadające typowi wzorów dzisiejszych, oraz charakterowi różnorodnego materiału nici. Wykorzystanie rafji, włóczki, jedwabiu i t. d, pewne połączenia, powinny wytworzyć nowe odmiany techniczne haftu kolorowego.

W następnym artykule postaram się poprowadzić w dalszym ciągu rozwój techniczny istniejących odmian robót.

Tutaj podałam wzory ściągów, sięgających czasów średniowiecza.

Wanda Młodożeńcowa.

Dane historyczne, zarówno jak i rysunki, oparte są na przykładach podanych w książce p. t., „Wiedza o sztuce” — Eligjusza Niewiadomskiego.

ODŻYWIANIE A ZDROWIE

(Ciąg dalszy)

O ile przy dietetycznym leczeniu otyłości lub zbytowego spadku wagi tabela I, mówiąca o ogólnej wartości kalorycznej pokarmów, jest wystarczająca do ułożenia jadłospisu—przy chorobie takiej, jak cukrzyca, należy posługiwać się tabelką II, która nie tylko daje nam wartość kaloryczną, ale też i przeciętny skład pokarmów. Przy cukrzycy, bowiem, organizm ma bardzo ograniczoną możność spalania i asymilowania węglowodanów, t. j. związków, stanowiących większą część mąki, chleba, kasz, ryżu, niektórych warzyw, owoców i słodczy.

W poniższej tabelce II ugrupowałam pokarmy zależnie od ilości węglowodanów, jakie zawierają warzywa o przeciętnej ilości węglowodanów, wynoszącej 3%: — szparagi, sałata, selery, grzyby, ogórki, kwaszona kapusta, szpinak, boćwinka, kapusta brukselska, kapusta włoska i zwykła, kalafjor.

Warzywa o przeciętnej ilości węglowodanów, wynoszącej 5 — 6%: pomidory, jarmuż, brukiew, rzodkiewki, karczochy, dynia, groszek szparagowy, buraki stare, białarzany.

Warzywa i owoce o przeciętnej ilości węglowodanów, wynoszącej 9—10%: marchewka, cebula, bu raczki młode, truskawki, pomarańcze, żórawiny, maliny, arbuz, jeżyny, cytryny, brzoskwinie.

Warzywa i owoce o przec. il. węgl., wynoszącej 15%: świeży groszek, jabłka, gruszki, morele.

Warzywa i owoce o przec. il. węgl., wynoszącej 20%: kartofle, winogrona, figi, wiśnie.

Konieczne jest ważenie produktów, które wnoszą ilość węglowodanów do diety na cukrzycę, bo tylko wtedy można sobie zdać sprawę, czy nie przekraczamy ilości węglowodanów, przepisanej przez lekarza.

Przeciętny układ 100-gramowych porcji:

ILOŚĆ GRAMÓW

	Węglowodanów	Tłuszczów	Białka
Mięso chude gotowane lub pieczone	0	25	15
Mięso tłuste (schab) szynka, baranina	0	30	20
Boczek	0	40	20
Masło	0	85	0
Śmietanka 10% tłuszczu	4	10	3
Śmietana 20% "	4	20	3
Śmietana b. gęsta 35—40%	3	40	2
Mleko pełne	5	4	3
Mleko odtłuszczone	5	3	1
Chleb	53	2	9
Mąka	75	1	11
Oliwa	0	100	0
Sos majonezowy	0	90	0
Ser zwyczajny	4	1	21
Ser szwajcarski lub litewski	0	36	28
Kasze (10 łyżek płaskich stołowych)	80	—	10
Orzechy włoskie	16	63	16
Jajko (jedno)	0	6	6

Należy dobrze zapamiętać, że każdy gram węglowodanów lub białka daje 4 kalorie; każdy gram tłuszczu—9 kaloryj. Kawa, herbata bez cukru nie ma żadnej wartości odżywczej, a więc kalorycznie może wchodzić do jadłospisu ad libitum.

Przeciętna dieta dla chorego na cukrzyce o wadze od 65—70 kg. nie powinna wynosić więcej, niż 2500 kaloryj (przy dużej ilości ruchu); przy siedzącym zaś życiu maximum 2000 kaloryj. Chorzy na cukrzyce bowiem, jak ostatnie eksperymenty wykazały, nietylko tracą zdolność spalania węglowodanów, a więc

typowego ich przedstawiciela—cukru—(przechodzi on do moczu niezużytkowany), ale również nie posiadają tak dobrego mechanizmu, jak normalni ludzie, do zużytkowania białka i tłuszczu. Chorych na cukrzyce nie należy więc obarczać zbyt obfitującym w kalorie pożywieniem, a zato należy dawać dużo jarzyn, ewentualnie owoców z grupy o niskim procencie węglowodanów. Warzywa i owoce, bowiem, gdy odpowiednio są ugotowane, dają uczucie sytości, dostarczają potrzebnych witamin i mineralnych części, a w rezultacie—niewiele paliwa. (c. d. n.)

Marja Morzkowska.
mag. dietetyki.



PREMJE DLA PRENUMERATOREK „BLUSZCZU“

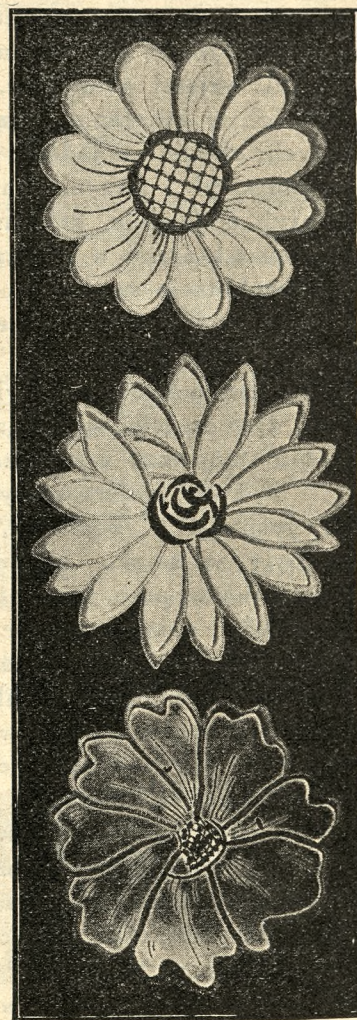
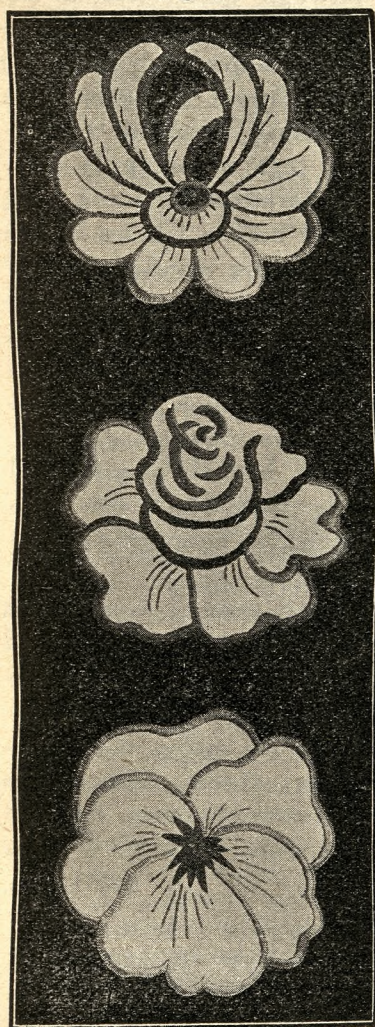
Każda z Pań, która w ciągu **Stycznia** wpłaci wprost **DO NASZEJ ADMINISTRACJI**

PÓLROCZNĄ PRENUMERATĘ
W SUMIE 34 ZŁ. 80 GR.

OTRZYMA BEZPŁATNIE JEDNĄ
Z NASTĘPUJĄCYCH PREMIJ
DO WYBORU:

1. Pudełko znakomitych mydeł toaletowych wyrobu firmy **Fryderyk Puls w Warszawie.**
2. Butelkę wody kolońskiej znanej ze swych doskonałych wyrobów firmy **Fryderyk Puls.**
3. Sześć jednakowych serwetek - kwiatów (jak podane obok), 17 × 17 cm., najmodniejszych do ozdobnego nakrycia stołu—zaczętych, wraz ze wszystkimi dodatkami.

Opłacając półroczną prenumeratę, należy wymienić, która premja i pod jakim adresem ma być wysłana.



S O S Y

Dla wielu gospodyń pojęcie o sosie łączy się koniecznie z mniej lub więcej gęstą zaprawą mączną, bądź to białą, bądź rumianą, zakolorowaną słabiej lub mocniej karmelem. Dowodzi to upadku sztuki kulinarnej u nas, no, i wpływu naszych zachodnich sąsiadów, Niemców, u których każde mięso, każda ryba, czy jarzyna, koniecznie w jakimś klajsterku pływać musi. Wcale nie mam zamiaru twierdzić, że zaprawę mączną ze wszystkich sosów usunąć należy, lecz tylko, że nie jest ona jedyną, uniwersalną, że tak powiem. Sztuka kulinarna francuska—poprawię—starofrancuska, która zawsze była i będzie wzorem do naśladowania dla wszystkich dobrych kuchen — zupełnie prawie bez tej zaprawy się obchodzi. Większość sosów, w niej znanych i używanych, powstaje bądź z duszenia mięs i ryb w różnych aromatycznych wywarach z jarzyn i korzeni, bądź też przez używanie do nich już gotowych wyciągów z kości, obrzynków, jarzyn i aromatów, zawsze trzymany na pogotowiu. Aby sos nabrał należytej konsystencji, gotuje się go wolniutko, a nieraz bardzo długo, na brzegu blachy, co się nazywa technicznie: „depouiller une sauce“, lub też zaprawia żółtkami, czasem w połączeniu ze słodką śmietanką, rzadziej—kwaśną. Kuchnia polska ma też wiele sosów, powstających z duszenia mięsa a nawet ryb, że już wspomnę o żywcem z włoskiej kuchni wziętej sztufadzie, czysto polskich zrazach, karpfach w śmietanie, szczupaku po żydowsku i wielu innych; chodzi mi jednak o te sosy, które się podają do mięs, ryb i jarzyn, smażonych, pieczonych i gotowanych oddzielnie, którym sos powinien dodać smaku, lub z którymi w połączeniu mamy osiągnąć lepsze kombinacje smakowe. Umiejętność przyrządzania smakowitych sosów jest najwyższą sztuką kucharską, której nabyć można tylko przez praktykę i smak wrodzony; ten ostatni, jak twierdzą powagi gastronomiczne, jest częściej spotykany u mężczyzn, niż u kobiet, czemu stanowczo zaprzeczam.

W życiu mojem spotykałam dziesiątki, setki może, gospodyń i kucharek, których wyroby kulinarne były w smaku nadzwyczajne, kiedy tej samej kategorii kucharze przeważnie umieli nadać ładniejszy wygląd półmiskom, ale treść ich utworów często wiele pozostawiała do życzenia. Mówię tutaj o pracownikach przeciętnych, takich, jacy dawniej się znajdowali w każdym dworze wiejskim, w każdym zamożniejszym domu w mieście, nie dotykając wielkich mistrzów sztuki kulinarnej. Porzucając więc wszelką dyskusję na temat domniemanej wyższości smaku męskiego, przechodzę do rozmaitych rodzajów sosów. Przedewszystkiem więc, sosy naturalne, które powstają przy duszeniu różnych mięs. Mięso powinno być zrumienione w tłuszczu dosyć gwałtownie, aby jak największą ilość soków w niem zachować. Potem

jednak, w miarę duszenia go, pewna ilość tych soków wypływa z niego i wraz z jarzynami (w naszej kuchni najczęściej z cebulą), korzeniami, wodą, winem, octem, śmietaną lub rosołem — formuje sos naturalny. Sosy takie, o ile są nie zanadto rozrzedzone wodą, nie potrzebują żadnego zgęszczenia. W kuchni polskiej są one bardzo często zaprawiane śmietaną, po której dodaniu nie należy ich już prawie gotować, gdyż przy dłuższem ogrzewaniu śmietana roztopia się na masło, przyczem cząstki kazeiny, w niej zawarte, mącą sos i robią go mniej apetycznym.

Drugi rodzaj naturalnych sosów formuje się przy pieczeniu lub smażeniu mięsa. W jednym i drugim wypadku cząstki soków mięsnych, ścięte przez gorąco, przystają do brytfanny lub patelni. Polewając tę brytfannę czy patelnię rosołem albo wodą, czasem też śmietaną czy smakiem, wygotowanym z jarzyn, cząstki te rozpuszczamy, zagotowujemy ten płyn i otrzymujemy wyborny sos naturalny, którym możemy bądź połączyć potrawę, bądź też podać go oddzielnie w sosierce. Jak dużo części pożywnych mięso z siebie wypuszcza, mamy dowód najlepszy, kiedy sos taki, ostudzony, ścina się w mocną galaretę, co szczególnie ma miejsce przy pieczeniu cielęciny i wieprzowiny; jednak to się często obserwuje i przy pieczeniu większych sztuk drobiu. Wszelkie wywary z cielęciny mają tę samą właściwość łatwego galaretowania się. Z tej właściwości może gospodyni skorzystać, gotując w pierw podduszone różne odpadki z cielęciny: żyły, ścięgna, kości wraz z kośćmi z innych mięs (uprzednio dobrze zrumienionymi), skórkami i kośćmi z szynki itp. Dodając do tego włoszczyzny i korzeni, otrzymamy esencję zgalaretowaną, którą zimą przez czas dłuższy przechować można i która będzie dla nas tem, co francuzi nazywają „fond de sauce“ (podstawą sosu). Łyżka lub dwie takiej galarety zastąpią nam tak zwany suchy buljon, lub tak obecnie rozpowszechnione kostki buljonowe. Jeśli, dusząc kości i odpadki, dodamy do nich kilka suszonych pieczarek lub suszonych prawdziwych grzybów, smak naszej esencji sosowej będzie przypominał „Maggi“ — preparat, smaczny wprawdzie, lecz niemieckiego pochodzenia, którego, w imię samowystarczalności, unikać należy.

Jeżeli chcemy, aby masa esencji sosu miała ładny kolor, należy wszelkie obrzynki mięsa przed uduszeniem i następnem ugotowaniem ładnie zrumienić. Jeżeli chcemy powiększyć galaretowatość całej masy, a w następstwie gęstość sosów, nią zaprawianych, dodajemy rozrąbaną nóżkę cielęcą. Ta ostatnia po zupełnem rozgotowaniu może być jeszcze osmażana bądź to w cieście, bądź też w jajku i bułeczce.

(dok. nast.)

Pani Elżbieta,





CHLEB GRAHAMA (na prośbę czytelniczki)

Na chleb ten używa się mąki pszennej razowej, czyli raz mielonej i nie osianej z otrębów, które właśnie stanowią najpożywniejszą i najbardziej obfitującą w witaminy część ziarna. Do użytku domowego nie należy piec tego chleba w dużych ilościach, gdyż łatwiej od innych gatunków czerstwieje. Kilo więc takiej mąki rozczynić trzema szklankami letniego mleka lub wody i 3—5 deka drożdży. Ilość drożdży zależy od ich świeżości: nie będąc jej pewną, lepiej wziąć ich więcej. Postawić przykryte w cieple i gdy dobrze podrośnie, dodać mąki taką ilość, aby ciasto było gęste, jak na chleb razowy, — około pół kilo, lub nieco więcej, zależnie od suchości mąki. Osolić dobrze, włożyć łyżkę surowego masła lub szmalcu: nadaje to kruchość chlebowemu ciastu. Wyrabiać, aż od rąk odstanie. Formować dowolnego kształtu bochenki, układać na blachy, posypane mąką. Gdy poraz drugi dobrze podrośnie, sadzać w piec, dobrze napalony. Piecze się, zależnie od wielkości bochenków, od 45 minut do pięciu kwadransy. Po wyjściu z pieca posmarować bochenki pendzlem, umoczanym w zimnej wodzie, i przykryć czystym płótnem, aby skórka nie była zbyt twarda. Taki chleb od dawna jest znany na Kresach wschodnich i na obecnej Litwie nosi nazwę „rogojszy“.

WIELKI KOŁACZ IMIENINOWY (na prośbę czytelniczki)

Podaję tu proporcję, z której wyjdzie duży kołacz lub krenkiel, rozmiaru tacy, używanej do podawania przy stole. Zwiększyć lub zmniejszyć tę proporcję potrafi każda gospodyni. Wagi taki kołacz będzie miał przeszło cztery kilo. Na kilo mąki wziąć trzy i pół szklanki mleka i 10 deka drożdży, które należy rozpuścić w pół szklance mleka (razem 4 szklanki płynu). Wsypać sporą łyżeczkę soli, wybić mocno, przykryć, postawić w cieple. Osiem żółtek utrzeć ze szklanką cukru, dodać do ciasta, z aromatyzować je dowolnie skórką cytrynową, kardamonem, wanilią, gorzkimi migdałami, lub kwiatem muszkatołowym. Dosypać około drugiego kilo mąki, (ciasto powinno być dosyć gęste), wyrabiać, aż od rąk odstanie. Dać podrosnąć powtórnie. Podzielić na pięć równych części, rozwałkować je jaknajmniej. Mieć przygotowane rozpuszczone i nieco przestudzone masło (40 deka) i szklankę cukru-pudru, utłuczonego z cynamonem, talerz (40 deka) różnych rodzynek: koryntek, sułtanek, bez pestek itp., i 10 deka smażonej w cukrze skórki pomarańczowej, pokrajanej w cienkie paski. Pierwszy płat ciasta posmarować masłem, posypać cukrem, rodzynekami i cykatą. Nałożyć nań drugi płatek i postąpić z nim tak samo. Gdy wszystko wyjdzie, zwinąć ciasto, jak olbrzymią struclę. Poczem z tej strucli ukłęcić jakby sznur, ze sznura tego układać krąg, lub też, co jest ładniejsze, ułożyć ładny

krenkiel na blasze, posypanej mąką. Postawić w cieple. Dać poraz trzeci doskonale wyrosnąć. Posmarować żółtkiem, posypać migdałami, kranami w paski, i upiec w gorącym piecu (około godziny). Po wyjściu z pieca, gorący jeszcze, posypać obficie cukrem-pudrem, utłuczonym z tym zapachem, którego użyliśmy do ciasta. Krenkiel taki jest wysmienity, długo nie czerstwieje i smaku nie traci, należy tylko użyć do niego najlepszych drożdży. Jeżeli drożdże nie są pewne, znacznie zwiększyć, nawet podwoić ich ilość.

ZRAZIKI NADZIEWANE

Czterdzieści deka mięsa miękkiego od krzyżowej, zrazowej lub skrzydła, przepuścić przez maszynkę z dziesięcioma deka bułeczki, wymoczonej w rosolu lub mleku, i sporą cebulą, wpierw przesmażoną w łyżce masła (3 deka), dodać jedno żółtko. Wyrobić doskonale, osolić, popieprzyć nieco, podzielić na osiem równych części. Dwie spore cebule pokrajać w paski, przesmażyć w masle (7 deka); gdy miękka, wsypać dużą łyżkę tartej bułeczki, zasmażyć razem. Ostudzić, dodać pozostałe białko, soli, odrobinę pieprzu. Rozpłaszczyć każdy kawałek usiekanego mięsa, nadziać cebulką, utworzyć ładną gałkę, nieco ją spłaszczyć. Zrumienić zraziki na masle, lub dobrym, świeżym szmalcu. Przełożyć do nelsonki lub płaskiego rondelka. Zalać kwaterką śmietany, zmieszaną z kwaterką rosolu, lub w ostateczności — zimnej wody (w takim razie należy płyn osolić) i dusić na wolniutkim ogniu minut dziesięć. Podawać do purée z kartofli, sypkiego ryżu, makaronu z masłem, lub kluseczek kartoflanych.

KORESPONDENCJE

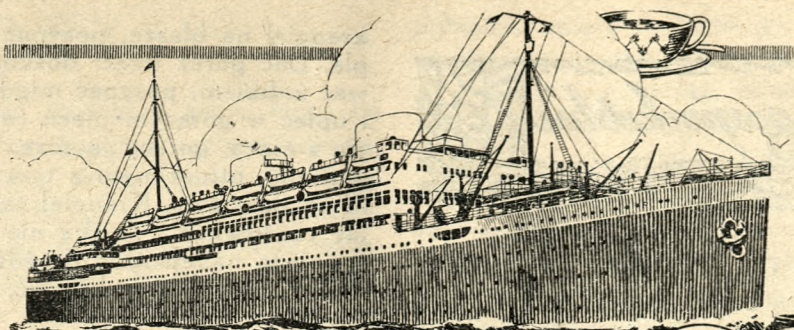
Pani L. P.—Jawornik. Futra wszelkie są bardzo modne—naturalne bardziej, niż sztuczne. O welarynach nic nie wiemy, nie tylko my, ale i zapytywani kuśnierze. Nie radziłabym Sz. Pani kupować czegoś niepewnego. Jest to bowiem napewno rodzaj sztucznego futra z królika lub zająca farbowanego. Najpraktyczniejsze są karakuly (niestety, bardzo drogie); dobre lutry (foki) też długo się noszą. Doskonale i bardzo modne są żrebaki, ale kosztują koło tysiąca złotych. Futro można już mieć od 400 zł.—nie będzie ono jednak zbyt trwałe, choć na pozór efektowne. Jeżeli Sz. Pani nie zna się na futrach, proszę zwrócić się do dobrej firmy, żeby nie paść ofiarą oszustwa. Polecam Sz. Pani kuśnierza: W. Szenajcha (Al. Jerozolimskie 8); proszę powołać się na nas, a z pewnością będzie Sz. Pani zadowolona.

Pani H. P.—Dąbrowa Górnicza. O ile Sz. Pani chodzi o sweater robotą szydełkową lub na drutach — podajemy je często w „Bluszczu“ i w „Kobiecie w Świecie i w Domu“, z opisem i sposobem wykonania. Jeśli to ma być kamizelka, wyszywana na kanwie, tiulu lub na innym materiale, potrzebna byłaby dokładna miara i bliższe wskazówki.



PROSZEK
„KOGUTEK“
DLA DOROSŁYCH
USUWA NAJUPORCZYWSZY
BÓL GŁOWY

CHCĄC NABYĆ PROSZKĘ NASZEGO WYROBU, NALEŻY PRZY KUPNIE AKCENTOWAĆ I WYRAŹNIE ŻĄDĄC ORYGINALNYCH PROSZKÓW Z „KOGUTKIEM“ GAŚCICKIEGO. ZNANYCH OD LAT TRZYDZIEŚCIU. ZWRACAJCIE UWAGĘ I ODRZUCAJCIE, UPORCZYWIE POLECANE, NAŚLADOWNICTWA W PODOBNYM DO NASZEGO OPAKOWANIU.



R. M. S. P. Co.'s

M. V. "Asturias"

POZA pokrewnym statkiem tego samego typu jest "Asturias" największym i najwykwintniej urządzonej motorowym statkiem na świecie. Motor "Asturias" które tak samo pracują jak motor samochodowy, zajmują tylko 3/5 przestrzeni, niezobojętej dla maszyny parowej o tej samej sile. Płaskie kominy, wyjątkiem tylnego, który służy jako wydmuch, są niepotrzebne, zbudowano je jednak, aby statek otrzymał oddawna przyjętą formę. Z zastrzeżonej w taki sposób przestrzeni na statku korzystają pasażerowie, którzy się wobec tego czują tak samo, jak gdyby odbywali podróż na najspójniejszych nowoczesnych oliniach transoceanicznych.

Tam, gdzie na parowcach znajdują się kotły, rury, wentylatory etc. zbudowano szereg salonów dla podróży. Zajmują one prawie całą szerokość i długość pokładu, a każda sala przypomina inne arcydzieła klasycznej architektury.

"Asturias" udaje się w podróż, zabiera ze sobą każdorazowo duże ładunki herbaty Lyons'a, przeznaczone dla rynków południowo-amerykańskich. Niezależnie od tego zaopatrzona jest kuchnia statku w wielką ilość herbaty Lyons'a, przeznaczoną dla pasażerów, wiadomo jest bowiem każdemu doświadczonemu podróżującemu, iż, niezależnie od warunków klimatycznych, ani też od tego, czy przetyły dzień był był by meczasy, czy też spędzony w bezczynności, zawsze pożądana jest filiżanka otwartej i pobudzającej herbaty Lyons'a.

HERBATE LYONS'a

podają we wszystkich lepszych kawiarniach i cukierniach. Herbata ta służy w Anglii od wielu lat. Zarówno dla Was, jak i dla każdego innego kraju specjalnie i w różnych wielkościach opakowana, aby wszelkim wymaganiom zadośćuczynić.



WŁOSÓW WYPADANIE I ŁUPIEŻ USUWAJA
ESENCJA I MYDŁO
CHINOWO-CHMIELOWE (z „KOGUTKIEM”).
 SPRZEDAJĄ APTEKI, SKŁADY APTECZNE
 I PERFUMERJE. — GŁÓWNY SKŁAD:
 APTEKA A. GAŚECKIEGO W WARSZAWIE, FRETA 16.

HEMOROIDY, CZOPKI **„VARICOL”**
 USUWAJĄ BÓL, SWĘDZENIE, PIECZENIE I KRWA-
 WIENIE. ZMNIEJSZAJĄ GUZY (ŻYLAKI). — SPRZE-
 DAJĄ WIĘKSZE APTEKI. — SKŁAD GŁÓWNY —
 APTEKA A. GAŚECKIEGO, W WARSZAWIE, UL. FRETA 16.
 ORYGINALNE Z MARKĄ FABRYCZNĄ „KOGUT”

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocz-
nie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O. — Warszawa 3700

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.
 Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelną) i MARIA PODHORSKA-OKOŁÓW
 Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 240.40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Telef. 244-75.
 Druk. Zał. i zar. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” M. W. W. Warszawa o tel. 244-15.

Nasza Mównica

Lwovianka. — Królewska Huta.

Pracując od kilku lat na Śląsku, pragnę podzielić się z Czytelniczkami „Bluszczu” szeregiem wrażeń i doświadczeń, w pracy tej zebranych, a może głos mój dojdzie i do sfer miarodajnych, zarówno rządowych, jak prywatnych, które wieleby zrobić mogły i powinny dla tej prastarej naszej dzielnicy.

Najważniejszym zagadnieniem Śląska jest sprawa jego polskiej kultury.

Ślązak, polak czysty, sto procentowy—to robotnik. Im wyższa pozycja społeczna, tem więcej spotyka się niemczyzny. Inteligencji polskiej, rodowitej górnośląskiej, jest niewiele. Po roku 1922 przybyło sporo żywołu napływowego z innych dzielnic; niestety, nie stanęli ci przybysze na wysokości zadania! Wielu z nich, na szczęście, już nas opuściło, ale niektórzy przechowali się po dziś dzień.

Robotnik Śląski zato umie pracować, oszczędzać; jest uczciwy i wdzięczny za każdą zorganizowaną dlań pracę. Od 7 lat uczę w gimnazjum, gdzie są przeważnie córki robotników, i miałam niejednokrotnie sposobność przekonać się o czystości dusz tych dziewcząt, o ich prostej, uczciwej szczeroci i zdolności trafnego oceniania człowieka. Ile razy pracuję w jakiejś organizacji—czy są to kursy, czy odczyty, zawsze od prostych roboczarzy spotykają mnie najserdeczniejsze objawy zrozumienia i uznania. Piękna przyszłość Śląska—to ta młodzież, która wyjdzie z polskiej szkoły.

Walka z niemczyzną jest tu trudna, bo niemcy są znacznie ruchliwsi i bardziej wykształceni. Dwie gazety polskie, najpoczytniejsze, „Polonia” i „Polska Zachodnia” nie mają razem tylu czytelników, ilu ich liczy niemiecki „Oberschlesischer Kurier”! W kinach np. wyświetla się napisy w obu językach—najpierw napis polski, potem niemiecki. Związek Obrony Kresów Zachodnich walczy z tem napróżno od lat 7-miu. Teraz znów Śląsk zaludnili silnie żydzi z Sosnowca i Będzina, którzy mają moc domów i sklepów. Żywiol ten, w przeważnej części obywatelsko nam wrogi, mówi po niemiecku i szerzy entuzjazm dla Berlina i niemieckiej kultury. Naturalnie, że i wśród żydów są ludzie z poczuciem polskości, ale jest ich znikomy procent.

Duża to jest wina naszych kupców. Dlaczego pp. Herse, Jablkowski, Wedel i etc., nie założyli tu filji? Po wyjściu Niemców, lokale były bańecznie tanie, żadna jednak z firm warszawskich nie

otworzyła tu ekspozytury; dziś żydzi i niemcy robią świetne interesy, a importując wyroby niemieckie, obniżają nasz bilans.

Najważniejsze obecnie dla społeczeństwa naszego tu zadanie—to ciągła, systematyczna i planowa praca nad krzewieniem polskiej kultury, a spełniać ją dobrze można będzie wtedy, jeśli będziemy umieli wznieść się ponad partje. Chcąc na Śląsku dobrze służyć Polsce, trzeba być tylko polakiem, bo są tu tylko dwa obozy:—my i niemcy. Wszelkie rozbicie na jakiegokolwiek obozy polityczne grozi nam osłabieniem i doraźnem niebezpieczeństwem.

Ze taka apartyjna, czy nadpartyjna łączność jest możliwa, mamy tego dowód w naszym, tu w Hucie, Kole Zw. Obr. Kr. Zachodn. Zarząd Koła składa się z przedstawicieli różnych odłamów politycznych, którzy od szeregu lat pracują zgodnie i robią, co mogą, dla Huty, a nigdy żadnych tarć partyjnych między nimi nie było.

Najbardziej potrzebnem byłoby usprawnienie administracji, zwłaszcza w szkolnictwie; powiększenie liczby wizytatorów szkół, aby przynajmniej dwa razy do roku każda szkoła była dokładnie zbadana. Aparat szkolny, bowiem, powinien świecić przykładem ładu, rzadności i precyzji.

Od chwili objęcia władzy przez p. Wojewodę Grażyńskiego, administracja w wielu działach idzie znacznie lepiej. Trzeba pracę tu skoordynować, budzić ośpałych, zachęcać pilnych, a leniwych zawstydzic i przypilnować. Jeśli przeniknie nas wszystkich duch rzetelnej pracy—górnos Ślązak oceni go i będzie z nim współdziałał.

Tylko przez taką harmonję i pracę możemy Śląsk przetopić w jedną bryłę z Polską.

Pani Helena Spoczyńska — Królewska Huta

W myśl zasady Pitagorasa:— „poznaj samego siebie”, — chcę pomówić o wadach psychiki kobiecej, aby przez dyskusję z paniami dojść do konkretnych wyników i zasad kształtowania charakteru kobiety polskiej dzisiejszej.

Zaczynam od omówienia szczeroci i prawdomównosci odnośnie do siebie samych i otoczenia; poruszę obłudę, fałsz, podstęp, jako metody reagowania na cały szereg zjawisk życiowych.

Czynię to dlatego, abyśmy, rozpoznawszy choroby, jak najszybciej zabrały się do ich leczenia „aby

rany nasze nie zablizniały się nadal błoną podłości, uświęconej kłamstwem i niewolą wieków”.

Stawiam tezę: nie mamy prawdziwej wolności politycznej i społecznej i mieć jej nie będziemy dopóty, dopóki nie wyzwolimy się z naszych odziedziczonych, zastarzanych wad, dopóki „duszę anielską” więzić będziemy w „czerepie rubasznym” kłamstwa, obłudy, podstępu, nieszczerości i t. d.

Czemże jest szczerść i prawdomówność? Wyrzucił drugi doskonale treść swą określa, jako mówienie prawdy sobie i innym, czyli obiektywna samokrytyka, samoanaliza w odniesieniu do przejawów życia psychicznego i fizjologicznego.

Widzę oburzone i zagniewane twarze czytelników:

— Mówimy prawdę! nie posługujemy się fałszem!

— Dobrze, ale czy robimy to zawsze i wszędzie?

Czemże w takim razie jest usprawiedliwianie swego lenistwa, nieobowiązkowości, bezdusznosci w pracy, gniewu? Czem—bojaźliwe, choć mistrzowskie kłamstwa w miłostkach lub miłości?

Gdy mam ochotę wykręcić się od czegoś — chodzę; gdy chcę coś zyskać, np. współczucie — udaję zmęczenie; często przyjemność i zadowolenie pokrywam grymasem i oburzeniem!

gorzej jest jeszcze, gdy chodzi o drugie osoby: z radosną pasją szukamy „belek w oku innych”, gdy nieraz są za ledwie żdźbła mizerne.

Czy nie jest to błędzenie po manowcach kłamstwa, gdy, albo potępiamy bez miary, skoro jesteśmy uczuciowo zdrażnieni — albo chwalimy przesadnie, znowu na mocy uczucia ku danej osobie?

Co gorsza, na podstawie tego samego faktu zachowania się czyjegoś, potrafimy dziś uwielbiać, jutro z pasją odtrącić,—wszystko dlatego, że taki kaprys nas opanował.

Może więc słuszne są zarzuty mężczyzn, że kobiecie sądy rzadko można brać serjo, ponieważ są przedewszystkiem subiektywne? Oczywiście, sądy męskie są także subiektywne, jak wogóle wszelkie poznanie. Nie chodzi o absolutną doskonałość, tylko przynajmniej o pewną, dostępną dla człowieka, dozę obiektywizmu, o umiejętność możliwie bezstronnego sądenia, do czego dzisiaj sumarycznie bardziej są zdolni mężczyźni, niż kobiety.

Oczywiście, że subiektywizm nasz jest szczerý, ale najczęściej nieprawdomówny, bo szczerść polega na zgodności z uczuciem, prawdomówność zaś idzie często wbrew uczuciu, broniąc prawdy, która ustala się nie zapomocą sankcyj uczuciowych, ale na podstawie faktów.

Ale czy tylko dlatego rozmijamy się z prawdą, jesteśmy nieściśle w myśleniu, nielogiczne w działaniu?

Czy nie przemawia przez nas czasem atawistyczna tragedia walki niewolnicy z panem, tyranem, o prawa swego serca, rozumu, godności kobiecej?

Ileż przykładów takich mamy w życiu, ile w literaturze!

Jakże często kłamały kobiety dla uchronienia się od przemocy rodziców, mężów, braci! Podstęp, jedyna broń niewolników, był ochroną istoty, słabszej fizycznie, tchórzliwej „mdłej i ułomnej”, często głupiej w zetknięciu z przeciwnikiem silniejszym, brutalniejszym, bezwzględny w miłości i nienawiści. Kobieta była rzeczą, zabawką, niewolnicą mężczyzny; rzadziej — „dobrym towarzyszem”, „koroną męża” i „ozdobą domu”.

Stąd równolegle występowały: ubóstwienie kobiety kochanej—mniejsza, czy kochającej — i mściwe, bezlitosne kary, wymierzone kobiecie przez kochających mężczyzn za zdradę, lub pozór zdrady, oraz zamykanie córek w klasztorach ze względów majątkowych.

Dziś, na szczęście, do niepowrotnej przeszłości należy tyranja rodziców nad dziećmi, mężów nad żonami. Uprawnione jesteśmy politycznie i społecznie; nie umiemy się jedynie uprawnić moralnie, gdyż posługujemy się nadal bronią niewolnic — kłamstwem, fałszem, podstępem.

Dlaczego? Bo kłamstwo, podstęp — to droga najłatwiejsza, droga najmniejszego wysiłku.

Podajemy mężom mniejsze sumy wydatków, tańsze ceny sukien, gdyż chcemy zyskać spokój, albo miano oszczędnej i dobrej gospodyni.

Kłamiemy słowem i czynem, albo dlatego, żeby komuś nie sprawić przykrości (wypadki najrzadsze), albo dla uniknięcia przykrości własnej, albo na mocy tradycyjnego nałogu, lub, żeby coś zyskać.

Wypadek pierwszy wypływa ze współczucia, np. nie mówi się prawdy umierającemu, który pragnie żyć; drugi — z egoizmu, wygodnictwa, tchórzostwa; trzeci — z bezmyślności; czwarty — z interesowności. Wszystko — z wyjątkiem pierwszego — z lenistwa, obawy, bezradności i braku inicjatywy do wynalezienia „nowego gatunku prawdy”.

Jak się tych wad, tak dokuczliwie drobiazgowych, pozbyć?

Sądzę, że należy uzgodnić szczerść z prawdomównością, czyli uczucia swoje otamować rozumem, oprzeć na faktach, nie na wrażeniach i uprzedzeniach. Nie wyzbywając się cennej intuicji w sądeniu ludzi, nauczyć się logicznie myśleć i poprawnie wnioskować. Należy jednaką wagą sprawiedliwości ważyć swoje i cudze postęпки; mieć odwagę przeciwstawić się swemu tchórzostwu niewolnicy wobec swojego tyra; wyrabiać w sobie poczucie odpowiedzialności, mieć odwagę bronić swej osobowości w sposób prawy, godny, szlachetny, jak wolni z wolnymi, równi z równymi, i mieć odwagę przyznać się do swoich błędów.

Pracę tę trzeba rozpocząć od wychowania siebie samych i młodzieży. Szkoła i dom muszą tu współdziałać własnym przykładem, dyskusowaniem o zdarzeniach z życia, „wstawianiem ich w światło oceny moralnej”; wreszcie, w klasach starszych, oparciem się o przykłady czynów kobiecych z historii i literatury.

Naostatku poruszam sprawę praktycznego posługiwania się szczerścią i prawdomównością. Pragnę przestrzec przed niepotrzebną szczerścią, przybiera-

jącą formę rozlewnych zwierzeń; przed prawdomównością, ujawniającą się w formie nudnego wytykania wad wszystkim — znajomym, bliskim i obcym. To jest niesłychanie groźne dla współzycia ludzi ze sobą, może zburzyć najlepsze stosunki, stać się udręką życia innych.

Umiejmy zachować rozumną miarę we wszystkim.

Takt towarzyski, subtelne odczuwanie, a przede wszystkim, życzliwość — wskażą nam zawsze, kiedy i komu należy prawdę powiedzieć, kiedy wyrazić ją przez gest, odruch, kiedy przemilczeć, gdyż „są prawdy, których mędrzec nie mówi nikomu“.

Przedewszystkiem zaś starajmy się przetwarzać nasze wady na zalety, nicość wewnętrzną na wartość twórczą, słabość — na siłę.

P. Róża Machówna z Poznania.

W mieście naszym odbyło się niedawno zebranie zarządów organizacyj kobiecych, na którym omawiano projekt założenia Przystani dla kobiet, znajdujących się bez dachu, w najskrajniejszej nędzy. Głównym dążeniem Przystani ma być opieka nad kobietami z ulicy, przyjdzie im z pomocą doraźną i znalezienie pracy, aby uratować je od upadku.

Jest bowiem jedna rzecz fatalna — oto zbyt lekomyślne i rutyniczne traktowanie moralności kobiecej przez policję. Trafiają się przecież szesnastoletnie i młodsze dziewczęta z książeczkami prostytutek! Niektóre otrzymują te hańbiące paszporty po pierwszym upadku!

Należy koniecznie domagać się, aby w dziale policji sanitarno-obyczajowej pracowały kobiety. Wtedy będzie napewno lepiej, bo nie znajdzie się kobieta, któraby drugiej kobiecie wydała książkę prostytutki, nie starając się wpierw odwieść ją od hańbiącego procederu i dopomóc do powrotu na drogę uczciwej pracy.

Drugą kategorią nieszczęśliwych są bezdomne matki z niemowlętami.

Jakież gorzkie refleksje budzić musi fakt, że w jednym i tem samym mieście widzimy na ulicy kobiety, strojne w bogate futra i kosztowne klejnoty, a obok nich — nędzarki, błędzące po ulicy z kilkodzielnymi dziećmi, które na rękach matek umierają z zimna i głodu!

Wielka ilość tych nieszczęśliwych matek rekrutuje się z pośród dziewcząt-służących. I tu stanowczo ponoszą winę te panie, które nie zainteresują się losem uwiedzionej dziewczyny. Dobra i rozumna pani nie powinna wydać służącej, która ma zostać matką, lecz zająć się jej losem. Ileż to razy interwencja kogoś, rozporządzającego czasem, inteligencją, większymi środkami materjalnymi i stanowiskiem, mogłaby pomóc do odszukania ojca dziecka i skłonić go do dania pomocy materjalnej! A nawet, jeśli to się nie uda, to w każdym razie obowiązkiem chlebodawczyni jest uchronić swoją służącą od nędzy, a nieraz i zbrodni.

Wszystkie kobiety-polki powinny stanąć, jak jedna, do pracy, aby ratować te siostry swoje, które przez cięż-

kie warunki życia, brak kultury i oświaty, popchnięte zostały na straszną drogę upadku. I jeżeli istotnie każda kobieta przejmie się tą sprawą, to łącznie bardzo wiele zrobimy. Nasze stowarzyszenia kobiece zapoczątkowały już czyn realny — tworzą Przystań, w której najbiedniejsze matki i dziewczęta upadłe znajdą dach nad głową, pomoc doraźną i pracę. Niechże ta Przystań znajdzie środki i poparcie! Niech drobną ofiarą, ale każda z nas dopomoże! Odmówmy sobie raz na miesiąc teatru, kina, zaoszczędźmy na jakimś wydatku, a uzbieraną sumę ofiarujmy na rzecz Przystani.

Przyczynmy się wszystkie do tego, aby w kraju naszym nie było matek i dzieci, umierających z głodu, aby zniknęła plaga prostytutcji!

P. Wera Tropaczyńska z Mogilnicy.

Wysyłając do Redakcji „Bluszczu“ list swój, umieszczony później w Nr 48 tego pisma, słabą miałam nadzieję, czy znajdę zrozumienie i aprobatę, ujawnioną w umieszczeniu owego listu, między innymi. A już zgola sceptycznie zapatrywałam się na żywszy odgłos choćby jednego, wśród wielkiego ogółu, serca. Ze wstydem przyznaję się dziś do owego sceptycyzmu. Bo nietylko sprawę moją podano do wiadomości całej Polski, ale i zrozumiano mnie jak tylko można najlepiej, ale i owa Polska szeroka głosami jednostek daje znać, że humanitaryzm i obywatelskie uczucia mają miejsce nietylko u steru i... na papierze.

Oto list p. Stanisławy Czayki z Bochni, nieznannej mi dotychczas niewiasty:

„Przesyłam Drogiej Pani (bo każdy jest mi drogi, kto o nieszczęśliwych naszych braciach pamięta i myśli) 30 zł. na kupienie dla tych biedaków, co Pani uważa za najpotrzebniejsze. Niewielka to kwota, ale daj Boże, żeby wszyscy, którzy czytali artykuł Pani w „Bluszczu“, także pośpieszyli z pomocą. Proszę bardzo o zawiadomienie mnie o otrzymaniu pieniędzy i o tem, co im Pani kupiła... Serdeczne uściśnienia...“

To tyle. Słów niewiele i wcale w barwne szaty nieprzybranych — ileż jednak serca w tych zdaniach kilku się mieści i ile głębokiego, obywatelskiego zrozumienia sprawy ważnej i wielkiej!

Składam p. Stanisławie Czayce w tem miejscu serdeczne podziękowania. Pieniądze Jej użyłam tak, jak wymagała tego pierwsza potrzeba wsi, w której pracuję. Powiększyłam szkolną apteczkę brakującymi w niej lekarstwami. Korzystają z niej ludzie nietylko jednej wsi, ale i z innych osiedli, o kilka nieraz klm. oddalonych. Ale potrzeba to nie jedyna i nie odośniona. Tyle jeszcze takich wsi i tyle w nich dzieci, prawie że boso do szkoły chodzących i prawie że nago chodzących! Może ten jeden zacny czyn i to jedno zacne serce obudzi sto serc takich i pojedyncze głosy zwiąże w mocne jedno wołanie i owocną pracę? Na tyłu polach kobiety ukazały swą twórczą inicjatywę i swój mrówczy, codzienny czyn — czyżby tę sposobność do nowej pracy i tę wielką potrzebę pominięły milczeniem?! Pojedyncze głosy mówią inaczej — a ogół?..

Pani Karolinie W. z Radomia — P. J. z Częstochowy.

Z ośmioletniego doświadczenia wiem, jak pomocną jest książka rachunkowa do regulowania wydatków.

Podaję niżej wzór książki, jaką prowadzę — może się przyda. Albo też która z pań-buchalterek ulepszy tę moją „babską rachunkowość“.

Ponieważ często brak czasu nie pozwala wpisywać wydatków odrazu w odpowiednie rubryki, piszę tylko treść i kwotę w pierwszej kolumnie. Wieczorem wpisuję wszystko dokładnie i sprawdzam kasę. W końcu miesiąca wiem, ile na co wydałam *).

*) Nakładem Tow. Wyd. „Bluszcz“ wyjdzie w najbliższym czasie specjalna książka, podająca liczne wzory i wskazówki prowadzenia rachunkowości domowej. (Przyp. Red.)

Data	T R E Ś Ć	K A S A		Życie	Mieszk. światło i opa	Kulturalne rozrywki i ł. kocie	Ubranie, bielizna i obuwie	Zdrowie i oszczędności	Różne	Służba	Wydatki dziecka
		przychód	rozchód								
Grudzień	Z przeniesienia . . .										
1	Pensja	650									
„	Pieczywo		1 50	1 50							
„	Masło i jajka		6 75	6 75							
„	Zelówki		4 50				4 50				
„	Prenumerata pism . .		24 75			24 75					
„	Pensja służącej . . .		30 —							30	
„	Materj. na sienniczek		8 40								8 40
	Do przeniesienia . . .										
		650	75 90	8 25		24 75	4 50			30	8 40

Podlasianka

Wszyscy mówią, że dużo jest roboty w Polsce. A ja nie mogę jej znaleźć. Myślałam, że gdy dostanę maturę, to świat zawojuję — tymczasem siedzę w małej mieścinie i strasznie źle się czuję! Nie mogą mi wystarczyć książki i roboty.

To zamało.

Chcę pracować — i to dużo, i z korzyścią.

Na wyższe studia wyjechać nie mogłam. Starać się o jakąś marną posadzinę i ślęczeć nad biurkiem od rana do nocy, zliczając coś machinalnie, nie mam wprost odwagi.

Chciałabym pracować duszą całą i z widocznym pożytkiem. Z całym oddaniem pracowałabym społecznie.

Ale nie wiem, gdzie mam się zwrócić, by taką pracę otrzymać.

Jednakże pracować bezinteresownie nie mogę — to jest może smutne, ale cóż poradzę! przecież trzeba gdzieś mieszkać, coś jeść i zato wszystko płacić.

Może więc która z Pań wie o jakiejś tego rodzaju pracy i łaskawie napisze o tem w „Naszej Mównicy“?

P. J. Kowalewska (kopalnia „Jowisz“) — w odpowiedzi p. W. B. z Radomskiego.

Centralna Stacja Doświadczalna Jedwabnicza w Milanówku pod Warszawą nabywa każdą ilość wyprodukowanych oprzędów, po cenie od zł. 9.50 do zł. 30 za klg., w zależności od stopnia ich wysuszenia i procentowej zawartości jedwabiu. Cena oprzędów zostaje określona na podstawie przeprowadzanej w tym celu analizy nadesłanej próby oprzędów (nie mniej, niż 50 gr.). Należność za oprzędy hodowcy mogą również otrzymywać w postaci materji jedwabnej, w stosunku 1¹/₄—1¹/₂ metra za 1 klg. suchych, dobrych oprzędów (o 25% zawartości jedwabiu).

OD REDAKCJI

Wszystkie Szanowne Czytelniczki, piszące do „Mównicy“, prosimy uprzejmie o zaznaczanie — zarówno na kopercie, jak na rękopisie — że listy ich przeznaczone są do tego działu, oraz o podawanie całego nazwiska i adresu. O ile korespondentka nie życzy sobie ujawnienia tych danych w druku, incognito jej będzie bezwzględnie zachowane, Redakcja jednak musi znać te szczegóły.